

Egz. archiwalny IBL

ZYGMUNTOWSKIE CZASY

WYDAWCA: W. BIAŁY, WARSZAWA

1900

J. J. WARSZAWSKI

ZYGMUNTOWSKIE CZASY.

WARSZAWA

Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione

Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione

ZYGMUNTOWSKIE CZASY.

ZYGMUNTOWSKIE CZASY

POWIEŚĆ Z BOKU 1579

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO

TOM II.

WARSZAWA,

Nakład i druk S. ORGELBRANDA Księgarza i Typografa

przy ulicy Miodowej Nr. 490.

1846.



Pozwala się drukować pod warunkiem, aby po wydrukowaniu złożoną była w Komitecie Cenzury liczba egzemplarzy prawemznaczona.

St. Petersburg 1845 roku, Sierpnia 25 dnia

IGNACY IWANOWSKI Cenzor.

II MOT

WARSAWA

Nakład i druk u ORZELEKOWSKIEGO & KSIĘDZKARZA i Typografii

przy ulicy Michajłowski Nr. 100

1846

GANEK PLEBANIJ.

Po doświadczeniu rannego dnia świecił nad Proszowicką okolice. Słońce prześwietliło niebo i balawa mianiny przetęła z zachodu - północy im wachod, błędo jaśniało na niebieskawem nie oczyszczonem sklepieniu. Wiatr unosił żółte i brązowe liście drzew, i krycił tłumami pszczoły, kwitnące włośnice między drzewami i łąkami. Długie nici pajęczne usunęły



Zezwala się drukować pod warunkiem, aby po wydrukowaniu złożona była w Komitecie Censury liczba egzemplarzy prawem należna.

GAMER PLEBANIA

WYDAWCA: KSIĘGOWNIA CENZURY.

II 1907

Pogodny ranek późnej jesieni świecił nad Proszowicką okolicą. Słońce przebiwszy sine i białawe chumury pędzące z zachodo-północy na wschód, blado jaśniało na niebieskawem tle oczyszczonego sklepienia. Wiatr unosił żółte i brunatne liście drzew, i kręcił tumana-
mi piasku, świszcząc żałośnie między drzewami i budowlami. Długie nici pające osnuły

łodygi zeschniętych kwiatów, gałęzie drzew, i powiewały unosząc się w powietrzu. Z daleka siniały góry, żółciały łąki, ciemniały stłuczone ścierniska, a drzewa odarte z zieloności, resztą sukienek żółtych i czerwonych odbijały na szarych przestrzeniach.

I ptastwo świergotliwe umilkło.

Wróble tylko bawiły się świerkając pod strzechami domostw, kruki i kawki kracząc pędziły z gajów na łąki, z łąk na posiane pola, zieloną wesolą uruną okryte.

Piękny ten dzień jesieni był jak wesoly dzionek starości rzeźwój, zdrowój, ale nie mniej jednak starój. Pomimo przygrzewającego słońca, chłód był w powiewie wiatru, trawy zmarłe szeleściły dziko pod nogami, liście krzyczały na deptane, wołając. Jutro zima. I kruki krakały. Zima i wróbel świergotał o mrozach.

A ludziom podobała się przedłużona jesień i ciepło: bo wieśniacy przewracali ziemię, wywozili nawozy, a miło im też być musiało się

na progu chaty spocząć i obejrzeć się. Wesela i skrzypki brzmiały do koła, ślub się spotykał ze ślubem, i nowożeńcy wzajem błogosławili.

W dolinie leżała wioska otoczona sadami, teraz już czerniejącymi tylko, rzędem jeden za drugim białe kominy, wznosiły się dachy—dwór kędyś dalej bo go nie widać, tylko w górnym końcu wsi kupa gęsta drzew starych otoczyła bielejący kościółek z wystrzeloną wieżyczką i czarnym krzyżykiem.

Kościółek to stary, z boku podparł się na szkarpach, które go jak kule starca podtrzymują — czoło trójkątne ząbkowane z owalnem głęboko wsuniętym oknem świeci czerwonymi i polewanymi cegielkami. W dwóch wyżłobieniach stoją dwaj święci pańscy, biskupi z mitrami na głowie, z pastorałami w rękę, księgami otwartymi na kolanach. Poznasz starą budowę, bo ją ziemia do koła zasunęła i wchodząc do środka troje schodków przebyć musisz; a mur gruby jak dawniej tylko sta-

wiano, a od czoła w nim, jak czarne oczy, czarne strzelnice widne z dala. Po nad dachem śpiczastym wnosi się wycimana kopułka czarna ze dzwonkiem i krzyżykiem, z której wywieszają w czasie czterdziesto godziniego nabożeństwa chorągiewkę czerwoną.

— Obok kościółka dzwonicia, tak stara jak on, nie tynkowana, z dachem stromym, z krzyżem żelaznym, z sześcią różnej wielkości dzwonami. — Do koła domu Bożego, toczy się gruby mur we framugi, z bramą warowną, a na węglach dwie kośnice stoją. — W jednej katarfelk stary i kości kupa, a w drugiej skład kamieni i gruzu, mieszkanie sów i wróbli, przytulisko jaskółek. W rząd przy murze stare lipy, wychyliły głowy na świat ze smętarza i patrzą w okolicę, szumiąc coś do siebie, rozmawiają tajemniezo nad grobami. A gdy wichur zawyje—mowa ich namiętna i gniewliwa, gdy niebo pogodne—mleczą i drzemią. Zieloną darnią porósł smętarz przy kościółku. Dwie ścieżki żółte suną się przez ciemną darń: je-

dna od bramy do kościoła, druga od kościoła do dzwonicy, wydeptana trawa zieleni się jednak na drożynie do kośnicy. A po smętarzu wypukło podnoszą się stare mogiły zarosłe i wypukłej jeszcze żółte nowe usypy. Na jednych krzyżyk drewniany, na drugich wąż brozka, czarny świerk, gdzieindziej kamień, głęboko zapadły, piorunem strzaskany, a mchami porosły, pokrzywę pozginały się nad nim, ze wsząd zakryły go oezom ludzkim, mchy zarosły w głoskach napisu. Na framugach muru smętarnego zbladły malowania i napisy, połupały się kamienie grobowe, i widać tylko w płomieniach dusze zmarłe wyciągające ręce do góry i żebrzące litości, widać tylko szare okruchy głazów, pocięte niewyraźnymi już głoskami.

W tyle smętarza nie wielka bramka otwiera się na wysadzaną lipami młodszemi uliczkę, wiodącą do plebanij otoczonej drzewy, opasanej murkami i płotami. — Na dziedzińczyku obrosłym dziką różą, bzem i czeremeta; —

stoi domek małeńki o kilku oknach wązkich, o ganku na słupkach z ławkami, o dachu słomianym, kominach piérzastych. — Przed nim sadzaweczka pełna kaczek i gęsi, chodzą w podwórku jędyki, trzepioczą się kury, leży ogromny spasty wieprz ryjem do góry. Z po za plebanii wysuwają się wiśniowe i śliwkowe drzewa owocowego ogródka. Na prawo duży trochę pusto wyglądający murowany budynek o jednym kominie, jednych drzwiach i trojgu okien. Ale okna pozalepiane, tynki pobrywane i drzwi na jednej tylko wiszą zawiasie. Jeszcze dalej, to stajenka, to chlewki, to szopki i brogi księdza plebana.

Na ganku, na ławkach dębowych, siedzi naprzód stary dziad w szarj opończy, krzyżem sinym naznaczonej, skórzanym pasem ściągniętej, na siwjej głowie czapeczka z uszami, z pod niej poorane wygląda czoło, bład kościsty nos zwisły na wargi i szara broda, to dzwonnik kościelny, stary Grzegorz.

— Obok niego dziwaczna postać klechy orga-

nisty, długiego, chudego, ze spiczastą jak dach kościelny głową, krótko ostrzyżoną i najeżonym włosiem do góry. Twarz jego siwo-czerwona, nos czerwono-siny, usta sine, czoło czerwone, policzki pomarańczowe. Broda dawno niegolona powychodziła grubemi czarnospakowatemi włosy na wierzch, niżej szyja podobna jędycej z pomarszczoną brunatną skórą nagą, wystaje z zapiętej sukni; kilka dorodnych brodawek zdobi tę twarz w barwy bogatą, a strzegą jej dwie wieże, dwoje uszu kosmatych, odstających, zwisłych. To Klecha organista.

Dalej rozposiadł się na ławie i spartł o ścianę w giermaku ciemnym, Rektor Szkoły, alias Magister, trochę otyły, zupełnie łysy, blady, nalany, z troistym podbródkiem, oczyma małemi, policzki wiszącemi, brwią namarszczoną. — Postać ta groźna nawet gdy się uśmiecha, a tak nawykła do surowości, że jej się czoło łyse za lada słówkiem fałduje, usta nadymają jakby do łajania, nozdrza rozpierają sapiąc.

Za Magistrem, usiadł Albertus klecha. O! i ta pocieszna zaiste figura, bo pół klesza, pół żołnierska. Giermek ci to na nim łatany, ale kusy, ale spięty; czapczyzna na ucho przewalona, nogę na nogę założył i poświstuje. Wąs mu się kręci koło nosa, a pod szyją coś by broda.

Twarz człowieka, kości z niej powyskakiwały, aż skórę pomarszczyły na policzkach, na skroniach, koło oczów. A marszczki Albertosowej twarzy nie groźne są, ani smutne, wszystkie się śmieją, chichoczą, wszystkie stworzył uśmiech, każdą wyryła radość i naznaczyła piętnem swoim. Siwe oczki mają ochotę przymrużać, usta szerokie same się rozchodzą, nos drga cały i skakać się zdaje z radości. I kto pojmie patrząc na strój odarty, łatany, zaplamiony, czego się on u licha tak cieszy? Choć goło, ale wesoło! to prawidło życia Albertosowego, wszak że go zapewne znacie?

Na ostatek jeszcze jedna, jeszcze jedna osoba, co ją widzicie na progu, należy do zgro-

madzenia i czynny bierze udział w rozmowie. To Magda księża gospodyni, lub pospolitej kucharka, krakowianka rodem, herod-baba. Dość spojrzeć aby się na niej poznać.

Nie otyła i nie chuda, raczej jednak koścista i żylasta niż mięsista, pani Magda, doszła już może lat pięćdziesięciu, ale się krzepko trzyma. Pomarszczona twarz rumiana jeszcze i świecąca, oczy siwe żyją i latają w zrenicach, tylko brwi nadto już odrosłe trochę je osłaniać poczęły, zbyteczną wegetacją nie najwdzięczniejszego koloru. Bo w tych włosach zapewne pod różnemi wpływy i w różnych epokach wyrosłych, są i siwawe, są i rudawe, są i ciemnawe, są i cienkie, są i olbrzymiej grubości. W prawdzie i oczy otoczyły się już różową obwódką, ale to im tylko wyrazu dodaje. Mówiliśmy o rumianych i błyszczących policzkach, które żółty meszek obiadł zwłaszcza na brodzie i koło nosa. Nos dawniej miławo zadarty dziś się otworzył do zbytku i rozszerzył zdradziecko. Usta wkle-

sły i usunęły w głąb po stracie zębów, z których jeden tylko wytrzymałszy na przodzie, cytrynową powleczony barwą i jeden czarny trochę wyszczerbiony, na świadectwo o przeszłości pozostali. Broda w prawdzie wyskoczyła zbytecznie na świat, ale wszystko czas swój mieć musi, i broda też świata skosztować potrzebuje. Teraz na nią najpierwszą kapie z łyżki strawa. — I sprawiedliwie. Włosy pani Magdy są tego niepewnego koloru, kóren z pomięszania siwych i blond powstaje, ale nie jest bez wdzięku zwłaszcza gdy go zdobi piérze i pył.

Otóż i wizerunek gospodyni, ale martwy i bez życia, bo mu braknie wyrazu odwagi, pewności siebie, energij, jaki zdobi Magdę. Podpasana fartuchem, z głową chustką obwiązaną, z warzęchą w rękę, kluczem za pas zatknętym, woreczkiem skórzanym z jednej strony, a koronka z drugiej. Magda, wesoło przedrwiwa się z Dzwonnika, Wojtaszka, Organisty i Magistra.

Z kogo bo się Magda nie śmieje! Sam starszerek ksiądz pleban, mięsza się widocznie, gdy Magda puści mu język mimo uszu i dowodzić zacznie czego, a obcy, a żacy, a diawidowie truchleją wpadłszy w jej szpony.

Taką jest pani Magda, ale nie zawsze taką była. Życie jej przeszłe pełne niedocieczonych tajemnic; wzdycha wspominając ubiegłe lata, a gdy piwa wypije — a dobrego, czasem nawet wyrwie się jej wielce znaczące słowo, nieraz przez dzwonnika podsłuchane i powtarzane tajemniczo organiście.

— Ej! nie wiecie ktom była!

Kto była? nikt w istocie nie wie. — Już starą przywędrowała na plebania i z początku pokorna, potulna, usłużna, służby się podjęła, zmiatając prochy przed plebanem, uśmiechając do dzwonnika nawet, kłaniając grzecznie Rektorowi. — Niestety! to był tylko miodowy miesiąc jej służby, póki zaufanie wszystkich i wszystkich — wszystkich nie otrzymała kluczów; powoli potem, gburować już zaczęła

naprzód Dzwonnika, potem sarkać na Albertusa, potem wymyślać na żarłoczność Organisty, obojętnie poglądać na Rektora, a finalnie pozwoliła sobie nawet *verba veritatis* delikatnie powiedzieć plebanowi. Ostatecznie i łajając go zdało się jej w krótkie potrzebne, tak była pewną że się bez niej obejść nie mogą i że do niej przywykli na zawsze. Magda stanęła w krótkie na czele rządów plebanij. Były i usiłowania wybicia się i próby usamowolnienia, ale Magda trzymając w ręku klucze spiżarni, pokonała nimi wewnętrznych nieprzyjaciół: pierwszy Albertus, zważywszy bezsilność swoją, z wroga stał się pochlebcą, zaprosił na piwo i odkrył Magdzie zamachy na nią tajemne i knowania Kleszego gminu. Magda ruszyła ramionami i rozśmiała się biorąc w boki.

Albertus do reszty podbity, kazał dać drugą kwartę piwa i ogadał przyjaciela od serca, Rektora. Na dzwonniką dziwne rzeczy pletli wszyscy — dzwonnik ostatni poddał się i do

ostatka mruczał, a szanując zapewne w nim tę szlachetną niepodległość, Magda szacowała go więcej podobno nad Albertusa, który ją czasem za kawełek słoniny w ręce całował.

Panowanie Magdy w chwili gdy trafiamy na nią, było już absolutném i nie znajdowało oporu nigdzie. Lękano się nawet po kątach szemrać, gdyż zawsze nazajutrz, ktoś niechętnych donosił. Wszyscy się potem kleli, że nie mówili, a Magda wiedziała jednak co gadano.

Dzwonnik nigdy w plotki się nie wdawał, ale bardzo otwarcie, nawet w oczy królowej plebanij powiedział, że zawojowała księdza i dwór księży.

Poznajmy się teraz z innemi osobami zgromadzonemi w plebanij na ganku, poczynając, od Dzwonnika.

Dzwonnik, starzec siwy i zgarbiony, zawsze mruczący, gdy go nikt niesłuchał; milezący, gdy kto z niego słowo chciał wyciągnąć, był rodem z téj wioski, służył dworsko, sterał

zdrowie i uczepił się sznura dzwonowego na starość. Kochał poczciwego księdza, oddawał sprawiedliwość Magdzie kucharce, a Albertusa próżniakiem zwał i nie potem. Prawdziwie nabożny, bardzo przesądny, dzielił czas modlitwą, pomrukiwaniem i snem. — Rzadko a rzadko rozgadał się aż do wywnętrzenia z serdecznych tajemnic. Wszak ci je każdy ma, nawet stary dzwonnik?

Organista, nieoszacowany organista czerwonego lica i pomarszczonój szyi, długi i chudy, miał wiele przymiotów ukrytych i jedną oczéwistą wadę. Któż policzy ukryte przymioty. Wadą była żarłoczność, która do rozpacz przywodziła Magdę, i opilstwo nieznośne księdzu plebanowi. Cienki i chudy jak szczapa zapewne z niespokoju o ten brak ciała, opychał się niezmiernie ale zawsze napróżno; już—już zdało się że żołądek nieco się wzdyma, nabrzmiewa, podnosi, aliści naza jutrz opadł, chudł i płaszczył znowu. — Nogi i ręce cienkie były i śpiczaste, ani nadziei uty-

cia! Słyszał on zapewne, że piwo tuczy i wdał się w ten niebezpieczny trunek, którego w krótko potem poznał z wódką i przybliżył tęsknym pragnieniem do miodu i wisznia-ku. Cóż gdy wzbudzając głód, nalewając ten wiecznie próżny żołądek, trunki organistę nie tuczyły. — Czerwieniał to prawda, zakwitał jak piwonja, wyrastały mu coraz nowe brodawki, ale nic więcej. Rozpacz źle często doradza, i ona to zapewne szepnęła organiście, aby nie porzucił trunku.

Zagrożony utratą pięknego głosu, (choć nieco schrypłego) — nie przestał on pocieszać się kuflem, którego dowcipnie i z łacińska nazywał — *Konsolatorem*.

Napróżno pleban reflektował, próżno groziła Magda, organista na nic nie zważał. Rano jeszcze—jak rano, szły responsoria jako tako, ale nieszpór często czuć było kuflem, często przerywał się czkawką i męszał cienkimi fałszywymi tony. Zapominał partesów, gubił się w wigiljach, od graduatu co dzień bardziej się

wykręcał, a wszystko to z powodu tej nie-
szczęsnej chudości, której nie pokonać nie mo-
gło, co go do rozpaczy przywodziła.

Ludzie mówili mu, że czasem ożeniecie tu-
czy — i długo rozmyślając ożenił się naresz-
cie organista z córką swego współbrata i są-
siada z drugiej parafii. Ale i to nic nie po-
mogło, gorzej nawet schudł jeszcze podobno,
nos mu się spuścił niżej, i gdy żona umarła,
po roku pożycia, powiadał na pogrzebie nie-
pocieszony małżonek.

— Gdyby jeszcze rok, byłbym wysechł na
wędzonkę.

Tyle o przeznacnym Organiście, a teraz o Re-
ktorze słowo.

Rektor, czyli Senjor lub Mistrz Szkoły przy
plebanij utrzymującej się, był dawniej i dłu-
go wędrownym Klechą, Rybaltem — pielgrzy-
mem, od kościoła do kościoła, od szkółki do
szkółki chodzącym za chlebem, strawą i gro-
szem. W kilku miejscach ofiarowano mu sta-
łą ugodę roczną, ale młodość ma prawa swoje.

Naszemu Rybaltowi chciało się światu zobaczyć, chleba z różnych pieców szkosztować (jak sam mówił), aby na starość wspomnieć o czém było. Wędrował więc po Krakowskiem, Podgórzu, po Szląsku, w Wielkiej Polsce, na Litwę aż, i nie nie zarobiwszy, siadł nareszcie przy tutejszej szkole dzieci uczyć. Dziwnego to charakteru człowiek, do bójki skłonny, w zwadzie smakujący, pięścią dowodzić skory; kijowych argumentów chwycić się ochoczy, ale w gruncie najlepszy i najpocziwszy.

Guza nabiwszy, pierwszy do niego żelazo zimne i chustę w wodzie z octem zmoczoną przykładał; łeb rozplatawszy sam go zawiązywał, przepraszał i *stan te pede* do zgody przychodził, która po tej próbie była już wiecznotrwałą. Liczyć bowiem nie możemy chwilowych szturchańców w uniesieniu czasem rzuconych, niejako dla wyprobowania przyjaźni.

Otoż podobno rysy tych wszystkich, których przed chwilą widzieliśmy na ganku. —

Należeli oni do tego wielkiego gminu żyjącego przy kościołach w Polsce, którego imieniem *Klechów*, *Rybałów* lub w ostatku *Żaków* zwano. To nazwisko służyło wszystkim bez wyłączenia sługom kościelnym; *Żaków* zaś, bardziej uczącym się i młodzieży szkolnej. Choć niektórzy wywodzą *Klechów* od *Klechdy*, my byśmy raczej widzieli w tym zepsuty wyraz *Clericus*, (Clerc). Co się tycze *Rybała*— i to nie naszego pochodzenia nazwanie, przyszło ono do nas z włoskiego, zapewne w XVI wieku, ze znaczeniem takim, jakie doń we Włoszech, Anglii i Francji przywiązywano, to jest rozpustnika, włóczęgi, urwisa. Początkowo w wiekach średnich, wyrazem *Ribaldi*, oznaczano ciurów, sługi wlokące się za wojskiem „*servientes exercitus qui publica lingua dicuntur Ribaldi*“ później dopiero w XIII wieku *Ribaldus* służyć począł nazwiskiem *Klechom* i *Kleszemu* gminowi. Jakim sposobem *Rybałt* u nas *Klechę* znaczyć mógł i za synonim jego użyty został? Obyczaje tej klasy tłumaczą.

Klechy dzielili się na dwie klasy żonatyh, nieżonatyh (*uxorati et adolescentes*). Ci ostatni na wyświęconych i świeckich (*ordinati et faeculares*). Do Klechów liczono dzwonników (*campanatores*) i organistów (*organarii*). Przy większych kościołach Klecha starszy zwany pospolicie *Senior*, *Rektor* albo *Mistrz*, (*Magister*) utrzymywał szkołę, a w niej żaków uczył kantu z partesów (z *nut*, z *party-tury*) *Graduału*, *Chorału*, *Mszy*, *Lamentorij*, *Psalterium* pogrzebowego, *Wigilij* i t. d., najczęściej bezpłatnie.

Do szkółek takich uczęszczały sieroty i dzieci chłopskie, (wątpić żeby ubogiej szlachty?) Klecha od siebie i swoim kosztem utrzymywał dla kościoła i szkółki *Kantora*. *Kantor* (zawsze Klecha) niżej stał w hierarchij Kle-szěj; za nim był już *immediate* Dzwonnik. Bardzo było małe myto Klechów, dwanaście do piętnastu groszy i tak zwana od chłopków *petycją* (proszona) snopkowe, z którego plebani czwarciznę mieli prawo pobierać. Do

Klechów należał także czwarty grosz uzbieranej przez dziada jałmużny, czwarta część ofiarnego chleba i t. d. Plebani w święta i w uroczystości, obowiązani im byli dawać obiady. — Oprócz wymienionych Kleszego gmi-
nu członków, liczyli się tu także Zakrystjani i Kalafaktor szkółki, mający pod swoim zarządem piece, ławy, dyscypliny etc. nazywający się także *Sufletą*.

Chodzili Klesi za jałmużną po wsiach, także z opłatkami, które roznosili wieśniakom (dawano je bydłu jako prezerwatywę od chorób) święcili domostwa, czytali Ewangelją, i t. p. Ubierali się ciemno w giermaki, albo bekieszę długie, w kościele brali na siebie komże. Niekiedy sam Klecha zastępował dzwonnika. Do Kantora z professyi należało śpiewanie Psalterjum i wigilij nad umarłymi, w czém niekiedy zastępowały ich Baby z pod kościołów. Za śpiewy nad umarłymi gdzie niegdzie wyznaczono myto osobne; a prócz tego zapraszać ich musiano na stypy.

Niewiele tam w nich nauki, trocha łaciny mechanicznie nabranéj? którą chętnie się popisywali; wiele za to przesądów i guślarstwa—Klecha dla gminu był mędrce*m* i w obliczu jego ton doktoralny przybierał i z jego rąk woda święcona, ziele z wianuszków, wosk do świec, rdza dzwonów, popiół z palmy, były wielkimi lekarstwami na wszystkie choroby.

Ale zajrzymy do plebanij i plebana.

Na prawo było królestwo Magdy, kuchnia, spiżarnia, izba jej i alkierzyk z okienkiem na ogródek zasiany ziołami lekarskimi, szalwią, majerankiem, bożem drzewkiem, rutą, miętą i t. d. Za tych to ziół szczyptę, za dziwanę, ślaz, macierzankę, lipowy kwiat, zbierane starannie i suszone na strychu. Magda dostawała na wsi i jaja i kury i oselki masła i gomółki sera i bułkę białą i co lepiej — flaszę miodu, piwa beczulkę. Magda bowiem była wielką lekarką i uchodziła za skutecznie bardzo doradzającą.

Na lewo mieszkał pleban, w dwóch izbach

z alkierzykiem, na księgi i suknie za skład służącym. Stara plebanija w ziemię wsiadła o oknach wązkich, ciemna wilgotna, z sufitem, na którym krzyżowały się ciemne belki dębowe, z kominem wysokim, piecem zielonym kaflowym i podobnym przypieckiem, wcale nie była wygodnym pomieszkaniem.

Czułeś wszedłszy do pierwszej izby, że to było przytulisko doczesne człowieka, któren niedbał jak mu jest na świecie, bo na nim nie żył, bo z niego uciekał. Szary mrok pannał tu w południe nawet, a zakradające się rano i wieczorem słońce, długimi pasy przerzynało na chwilę tylko jednostajny zmierzch, powiększony jeszcze splecionymi u okien gałęzmi wiśni, bżów, i leszczyny.

Sciany były nagie prawie. Na jednej wisiał ciemny obraz Jezusa ukrzyżowanego, na drugiej Matka Boża Bolesna. Na stoliku pod oknem stał krucyfiks biały od much upstrzony, otoczony kilką książkami. — Dalej szafa za szkłem z trochę ksiąg i naczynia. Na komi-

nie dwa niebieskie kielichy miały jeszcze w sobie resztę zeschniętych kwiatów wiosennych, które w nich zwiędły nie wyrzucone, pochyliły się i poczerniały.

Na drzwiach, nad oknami, białą kredą popisane były krzyże.

W drugiej izbie stało wążkie, prawdziwe mnisze łóżeczko sukienną kołdrą pokryte z poduszką sianem wypchaną. Nad niem krzyż, palma i gromnica, medal Częstochowski, wianki Bożego Ciała, u głów stoliczek z książkami. Trochę odzienia na kółkach, trochę papierów na półkach i stolikach, niedopalona świeca w lichtarzu i rozpoczęte pisać kazanie.

Nie więcéj; nie co by do wygody, co by do uprzyjemnienia życia posłużyć mogło. — Zupełne zaprzanie się siebie widać było zewsząd. Człowiek co to mieszkanie zajmował, nigdy téż nie pamiętał o sobie, cały wylany dla ludzi, słaby dla nich i pobłażający, surowy dla siebie i był jednym z tych rzadkich fenomenów,



które dowodzą, że miłość własna, nie jest konieczną osią, na której się życie ludzkie obraca.

Powróciwszy z kościoła, usiadł w pierwszej izbie u okna, położył brewjarz na kolanach i odmawiał szybko pacierze, cały niemi zajęty, przewracał karty troskliwie; niekiedy przykłękał, żegnał się i bił w piersi.

Stary to już był człowiek, starszy twarzą niż wiekiem: bo lice miał blade, chude, wczesnie obrane z świeżości, oczy prawie zgasłe, głowę obnażoną. — A jednak na twarzy błakał się wyraz łagodności i dobroci, i oczy zdaje się nie umiały by spojrzeć srogo. Złamany na w pół, z nogami podkurczonemi, chylił się ku ziemi. Wszystko w nim zapowiadało i dobroć i zbyteczną słabość charakteru.

Dzieckiem jeszcze, syn bogatych rodziców, wziął suknię duchowną, dla powiększenia dzielniczy braterskiej, wyrzekł się bez szemrania świata, majątku, rodziny, i całą duszą oddał Bogu. Bóg mu zapłacił wszystkie ofiary.

Zapomniawszy że się urodził i wychował

w dostatkach, stał się ubogim i pokornym nie chępiąc z tego, uczucia obowiązku. Słabość zdrowia nie wymawiała go od najcięższych posług ubóstwu, od najdrobniejszych obrzędowych powinności kapłańskich. Nieraz chory w gorączce machinalnie domawiał kapłańskie swoje pacierze. Nie mając koni piechoto szedł spowiadać, pocieszać i dzielić się ostatnim chleba kawałkiem. Sam też często jeść nie miał czego i Magda surowo go za to burowała, gdy on uśmiechając się łagodnie, odpowiadał tylko.

— Dosyć mi chleba i wody — bardzo dosyć, nawet mi się jeść nie chce.

Nigdy nie chwalił się z tego co czynił; owszem zdawał się jeszcze wymawiać jak z grzechu, z cnót swoich, a pomawiany nigdy nie bronił. — Cierpieć potwarze, nauczył nas Chrystus, mawiał czasem — a cierpieć je mileząc tém większa zasługa.

Ludzie go nie pojowali, on się o nich nie troszczył, dopełniwszy obowiązków wolne

chwile poświęcał modlitwie, a w ostatku czasem moment poufałej rozmowie, w którą wlać umiał naukę. Lecz najwięcej uczył przykładem, którego może dla niepodobieństwa naśladowania niepojęty, mniej był skutecznym.

Domowi panowali nad nim jak im się podobało, bo się domowemi nie zaprzętał sprawami. Magda robiła co chciała, dawała jeść co chciała, odmawiała jedzenia gdy się jej podobało. Nigdy się nie poskarżył. Calej co innego było w kościele, tam ksiądz pleban odzyskiwał energją, tam panował, strojąc ołtarze, ubierając obrazy, zamiatając sam prawie. A gdy nadchodziło jedne z tych wielkich wesółych świąt naszego kościoła, na które jest zwyczajem stroić dom Boży; swemi rękoma robił wszystko.

Raz spadłszy z rusztowania w wigilją Bożego Ciała, rękę złamał. Ale sam ją związawszy, w leszczotki wzięwszy, nie wydawszy jęku, położył się powtarzając tylko ciągle.

— Nie będę mógł jutro mieć Mszy Świętej! Srogie dla mnie utrapienie!!

Nie dziw że taki człowiek jak nasz ksiądz pleban, niepostrzeżony żył na wsi, i nie wznosił się wyżej w kościelnych dostojenstwach. Raz jeden pokochany przez Biskupa, który go wyciągnąć pragnął i zbliżyć do siebie, ukląkłszy przed nim, płacząc mu powiedział.

— Będę posłusznym Waszej Pasterskiej Mości, ale łzami mój odjazd stąd obleję, któż mnie tu u moich biednych zastąpi. Na wyższych stopniach, jest wielu zdatniejszych, jam nie do nich stworzony. — Uwolń mnie pasterzu, zostaw tutaj, a całe życie będę ci wdzięcznym.

Biskup nie nalegał więcej i tak Pleban pozostał na miejscu.

— Nie będę mógł jutro mieć Mszy Świę-
tej! Szczęście dla mnie utracone!!
Nie dziw że taki człowiek jak nasz ksiądz
pleban niepostrzeżony był na wai, i nie wzniósł
się wyżej w kościelnym dostojństwie. Raz
jeden pokochany przez Biskupa, który go wy-
cignąć pragnął i zbliżyć do siebie, ukłaskany
przed nim, płacząc mu powiedział:

— Będę posłuszny Wszechwładcy Pastorskiej
Mocci, ale łzami mojej objazd stał obłęd, kłó-
tanie tu w moich biednych zastąpi. Na wy-
szczytach atoniamach, jest w nich najmniejsza, tam
nie do nich stworzony. — Uwolił moje pasie-
rzo, został tutaj, a całe życie, będę ci wdzie-
cznym.

Biskup nie nalegał, więcej i tak Pleban po-
został na miejscu.

RYBAŁCI.

Wszakże w tym czasie, podobnie jak i w każdym innym, w którym się żyje, widać, że ludzie, którzy się zajmują rybołówstwem, są bardzo biedni i że ich życie jest bardzo ciężkie. Wszakże w tym czasie, podobnie jak i w każdym innym, w którym się żyje, widać, że ludzie, którzy się zajmują rybołówstwem, są bardzo biedni i że ich życie jest bardzo ciężkie.

II.

TERAZ gdyśmy poznali bliżej osoby znajdujące się na ganku plebanij, posłuchajmy ich rozmowy. Łatwo się domyślać, że gromadka Klechów o sobie mówiła, i na swój los wedle zwyczaju narzekała, chociaż tutaj najmniej do tego miała prawa. Pleban nie tylko ich opłacał z własnej kieszeni, karmił, lecz jeszcze dochody kościelne, jałmużny, ofiary pobożnych,

po większej części im oddawał. A jednak słysząc dokoła narzekania braci Klecków, i ci na swój los się żalili. Próźniaczy ten gmin, jak zwykli ludzie, którzy czegoś liznęli i sądzą się godni lepszego losu, zawsze mieli się za najniezwyklejszych, upokorzonych, uciśnionych.

Jedna Magda, brała stronę księdza plebana, już to przez uczucie mimowolne sprawiedliwości, już dla tego, że w jej rozumieniu pleban był jej stroną.

Właśnie sparta na uszaku drzwi, podniosła głowę do góry, perorowała do Organisty, który stękał najgłośniej.

— Wam bo zawsze źle a źle, mówiła, choćby wam anioła z niebios sprowadzić i ten by takim próżniakom niedogodził, co by do góry brzuchem leżeli cały Boży dzień i jeszcze do gęby by im strawę wlać, a potem pyska utrzyć — he!

— Jak sobie chcecie, odrzekł suchy Organista,

kręcąc gębą wyschłą z pragnienia — ja taki swoje.

— Pop swoje, czort swoje.

— Jak sobie chcecie — a ja swoje! Próżniaki, powiadacie! próżniaki! A nie że to, że ja codzień do mszy przygrywam i przyśpiwuję, a nieszpór, a inne prace ciężkie. U naszego Jegomości spoczynku chwili nie ma.

— Doprawdy! zawołała Magda, już wam źle i z nim! A popatrzcie no się na sąsiady, gdzie i myto zalega od kilku lat i Organista młóci, albo gnój na pole wywozi dla proboszcza.

— Aha! odparł czerwony Klecha — a taki oni tam mniej pracują, jak my tu. U nas to prawdziwie dopiero ciężko. Chwili tehać nie można, msze śpiewa a śpiewa, nabożeństwa panie Boże odpuść, sam komponuje co ich nawet ani w kalendarzu, ani w rubrycelli nieznajdziesz. Święta sobie przymyśla, nieszpory inwentuje, aby mu ludzi pocziwych nękać. Bo to nawet i Panu Bogu taka na-

trętność nie musi być miła. I że sam żelazny, myśli że i my kamienni! A tu nie wytrzymać w takiej pracy, mnie w gardle zasycha, głosu braknie.

— Bo pijesz! zawołała Magda rezolutnie; Organista z uczuciem obrażonej dumy powstał jak był cienki i długi.

— Bo pijesz! zakrzyczał wznosząc rękę. I to mi za złe mają, że gdy człek pada od znużenia; to się pokrzepi jaką szklanką, aby żył? Dalej, dalej, niech sobie proboszcz gdzie chce szuka organisty, ja nie wytrzymam.

— Tak było i mówić, rzekła Magda — podziękujcie na Ś. Marcin i ruszajcie z Bogiem, a ja ot i wiem już zastępcę na wasze miejsce.

Organista spojrzął z niechęcią na kucharkę i padł na ławę w rozpacz.

— Tego byście i chcieli! tego — Ale nie! nie nie będzie z projektu. Kiedym tu głos mój sterał i skaleczał nie ustannie becząc, teraz chcecie łupinę precz wyrzucić? O! nie!

Magda się roześmiała.

— I porzuciłbyś stary bredzić — dodała. —
Gdzież już lepiej, spokojniej jak u nas. Bogu
byś dziękował żeś się tu dostał. Gdybyś u in-
nego plebana pijany responsorja nieszporne
mieszkał, dawno by cię wypędził.

— A ta mi zawsze pijaństwem w oczy ko-
le! ruszając ramiony rzekł Klechta.

— Spójrzyj na innych, spójrzyj, mówiła
dalej Magda. Ot najbliższy wszak ci Organi-
stę okłada kijem pocziwie, i dobrze robi, a
waści kiwnął choć palcem kiedy nasz poczi-
wy proboszcz? powiedział złe słowo? Cze-
ściej wy na nieboraka pogdyracie, gdy się
wam Boga chwalić niechce i radzibyście świę-
to w kaszy zjeść, aby tylko nie śpiewać. —
Porzucicie, porzucicie.

— Już to pozwólcie sobie powiedzieć, przer-
wał Mistrz Szkoły marszcząc się swoim zwy-
czajem, że u naszego Dobrodzieja ciężko to
ciężko.

— I wy to mówicie?

— I ja! otóż to! bo przynajmniej po ludziach,

człek choć goły, ale nie robi za to, a tu tak pilnują.

— Żebyście darmo chleba nie jedli.

— Śliczny chleb!

— E! nie grzeszcie.

— Albo to my nie warci lepszego? he?

— Powroza — dodała cicho kucharka.

Dzwonnik w czasie całej rozprawy milczał, Organista sam do siebie obyczajem pijanych, coś prawiąc ręką w powietrzu zamachiwał.

Albertus uśmiechał się.

— Boga chwalić, rzekł nareszcie. — Boga chwalić. Ot co ja to zaznałem prawdziwój biedy i teraz już nie piszczę. W żołnierce to panie.

— No! to przynajmniej człek nie głodny? rzekł Organista obie ręce podnosząc.

— A tu kiedyście głodni? spytała kucharka.

— Śliczne jadło! śliczne jadło! żywo wołał Klecha, krupnik, barszcz! nigdy jajecznicy, nigdy nic delikatnego. — A piwa! kwarta, dwie, do garnea nigdy nie dochodzi, człek utyc nie

może, bo więcej wyekspensuje się śpiewając, niż potem podłata jadłem i tak go ciągle potrochu ubywa.

To mówiąc rozpaczliwie ręką machnął.

— Gdym służył wojskowo, rzekł Albertus, szliśmy na Wołosz panie — zbliżaliśmy się na de Dniestr — otóż. —

— Aliście piwo mieli? rzekł Organista.

— Często i wody brakło.

— Organista nie dowierzając odwrócił się z pogardą niechcąc słuchać.

— Są tam bracie takie stepy, mówił Albertus, że jak okiem zajrzysz, ani trawy, ani wody, ani drzewka.

— Ani piwa! — mruczał Organista.

— Bywało tak że trzy dni, żyjemy sucharami i to szczerupło rozdawanemi, pijemy powietrze.

— Głupi napój — serjo spluwając przerwał czerwony Klecha, głupi napój, choćby nawet w czasie słoty.

— W tém ukazują się Tatarzy.

— Na Wołoszczyźnie? rzekł śmiejąc się Magister — rozmijacie się bracie Albercie z prawdą.

— I bardzo nie! odparł Albertus, bo Wołosz a Tatarzy, to jedna ziemia, nieprzymierzając jak Litwa i Polska, tylko Tatarzy tu ku morzu, a Wołosz.

— A Wołosz co pije? spytał Organista — piwo?

— Kto ich tam wie — pewnością wino, bo tam mają winnice.

— Djabeł ich nie brał! rzekł kręcąc głową Klecha.

A Tatarzy — dodał Albertus piją mleko kobyłe, z którego robią mocny napój. —

— Może być i niezły kiedy mocny — szepnął do siebie gestykulując Organista.

— Tandem często — mówił Albertus znowu, bywało głodni rzucamy się na Tatara, albo na Wołochów.

— Tęm też tężej się bijecie, dorzucił Mistrz, człowiek głodny zły jak pies.

— Spragniony jeszcze gorszy — sentencjonalnie rzekł Organista.

— Cóż kiedy i głodny i spragniony. —

— Wściekły! zawołał Klecha, powiadam wam wściekły!

— To bywało jak wezmieni Tatarów między siebie — kontynuował Albertus, to na miazgę tłuczem, tłuczem, i nawalim trupa, że potem od fetoru zgnilizny, na cztery mile powietrze się psuje. Raz tedy, braciszku, dwudziestu pięciu Tatar wysłanych za językiem, napadają na mnie, gdy idę do krynicy poszedł, krynica była w urwisku jaru, jakich tam jarów w stepie gęsto. Nie nie obawiając się, niedomyślając niczego, idę sobie — aż tu z dolinki wymykają się Tatarzy w dwadzieścia pięć ludzi, a siedemdziesiąt pięć koni, bo trzeba wiedzieć, że każdy wie z sobą parę loźnych.

— A wyż co? spytała Magda — w nogi!

— Gdzie tam, inny byłby uciekał, ale ja tyłkom się obejrzałem w koło, do szabli wzią-

łem i dalej na nich — pierwszego co się potknął, ciałem w łeb, drugiego też samo.

— A trzeci ciebie.

— Ale nie! ubiłem piętnastu, a dziesięciu uciekło, odarłem trupa.

Dzwonnik głową tylko kiwał w czasie opowiadania.

— Pamiętacie Alberte, rzekł z cicha, jak roku przeszłego był tu wasz towarzysz?

— A! a! pomnę, Zaręba!

— I co o waszém mężtwie powiadał? żeście mężnie w krzakach siedzieli i kury po dziedzińcach ganiali.

Magda się rozśmiała szeroko.

Albertus nic nie zważając, mówił dalej.

— To to było życie, teraz mi już po tamtém wszystko dobre.

— Życie wojackie prawda ciężkie, rzekł Magister, ale ma swoje wielkości i pociechy, ma dnie swobody i hulanki, a nasze. —

— A nasze to piekło piekelne! zawołał Organista. Z rana śpiewaj, w południe śpiewaj,

wieczorem śpiewaj, śpiewaj nad umarłym, śpiewaj gdy się żenia, a w gardle sucho.

— Albo jak ja, ucz smarkaczów od rana do wieczora i w dodatku kościelną służbę sprawuj.

— Mógłbym i ja się poskarżyć, ozwał się milczący dzwonnik, ale dam pokój.

— I lepiej zrobicie, odpowiedziała Magda, pozał się Boże stękać, kiedy nie ma czego. Niech inni Klechowie narzekają nie wy. U innych to proboszczów bięda, gdzie i w polu rób i pierze drzyj i do kuchni posłuż i myta nie dadzą i z petycij czwarciznę odbiorą — i —

— To też Klechowie uciekają, zwycięzko zarzucił Organista, a my siedzim.

— I stękacie sami nie wiedząc czego.

— Praca jak we młynie, człek dnia nie spocznie.

— Wam bo taki darmo chce się chleb jeść.

Nastąpiła chwilka milczenia, w czasie której Magda rzuciwszy okiem do koła wskazała palcem na drogę. Na gościńcu coś czerniało.

Wszyscy się obrócili i każdy idącego ku plebanij, inaczéj sobie wytłumaczył.

— Stara kowalowa jaja niesie pewnie, rzekła Magda — to i dobrze, bo mi ich braknie na piątek.

— Któryś to z moich żaków — szepnął Magister.

— Czy nie piwo to niesie Grzegorz —? spytał sam siebie Organista — dobrze by zrobił. —

— Może jaki żołnieraka — mruknął Albertus.

— Ni to, ni drugie—po chwili przypatrywania się uważnego, rzekła kucharka, jakieś chłopiątko bose, z głową obwiązaną, w mizernéj sukieneczynie, ku nam kroczy.

— Nowa gęba co nas w obiedzie odje, gadał Organista, bo jak tylko jaki odartus, to go pewniusieńko proboszcz na obiad zaprosi.

Gdy tak wszyscy rozmawiają i zgadują i poglądną, chłopię tym czasem przybliża się do wrót powoli, otwiéra furtkę i bojaźliwie na dziedzieniec wchodzi. Dwa psy chwyciły

się nań szczekać, ale Dzwonnik je zwołał.—
Ubogi chłopiec obejrzawszy się postąpił po-
woli na psy oglądając ku gankowi.

Wszyscy ciekawe nań wytrzeszczyli oczy.
Magister czując żaka, marszczył się groźnie,
jak na Nauczyciela przystało. Albertus ga-
wronił głupawo, Organista rachował wiele go
u obiadu odje dziecko, Dzwonnik litościwie
nań spoglądał, Magda także z kobicem uczu-
ciem ruszyła przeciw niemu od proga.

— A skąd to kochanku? spytała.

— Już go kocha, mruczał Organista, a to
zaraz i do miski poprosi i jeść niebędzie dla
nas czego.

Chłopię podniosło niebieskie oczy, poruszy-
ło ustami i zmieszane nie nie powiedziało. —

Magda widząc skrwawioną jego głowę szma-
tą przewiazaną, żywo powtórzyła.

— A co ci to w głowę, moje dziecko!

I na to jednak chłopię nie umiało odpowie-
dzieć.

— Ani chybi — niemy, rzekł Organista, a każdy niemy, je za dwóch gadających.

— Pozwólcie mi spocząć — dobywszy narzeczcie głosu, żałośliwie zagadał chłopiec, uciekam z Krakowa, gdzie mnie straszne o mało nie spotkało nieszczęście. Jestem żakiem z Burzy S. Grzegorza.

— A cóż ci się stało? spytali wszyscy co ci się stało?

W tej chwili i głośniejszą słyszeć rozmowę w ganku i jakiś ruch mniej zwyczajny, proboszcz skończywszy pacierze wychyla się, a ujrawszy chłopaka, żywo w ganek wszedł.

Na widok jego powstali wszyscy, pozdejmowali czapki, a organista uśmiechać się udając bardzo trzeźwego począł, jedna Magda nie straciła fantazyi.

— Co to za chłopiec? spytał proboszcz.

— Niewiadomo Dobrodzieju, pośpieszyła odpowiedzieć kobieta, jakiś biedniaka, tylko co przyszedł gościńcem, prosi odpocząć, coś gada że go jakiś przypadek spotkał w Krako-

wie i musi być prawda bo głowę ma zakrwawioną.

Pleban łagodnie przemówiwszy wziął dziecie za rękę i poprowadził z sobą do izby.

— A co nie mówiłem, zaburczał Organista, że aby jaki odarty włóczęga się zjawił, to go za największego gościa przyjmie i do miski przypuści, żeby nas odjadał. Już go i do izby wziął.

Wszyscy ciekawie zbliżyli się do drzwi podsłuchiwać i podglądać, ale proboszcz nie myśląc wypytywać chłopięcia, naprzód się wziął do oglądania mu głowy.

— Co ci to w głowę? spytał troskliwie.

— Rozbita, rzekł chłopiec. —

— Uderzyłeś się?

— Uderzony byłem przez złego człowieka.

— Siadaj moje dziecko. — Wody i szmat zawołał Pleban — Magdo — ciepłej wody, czystej chusty, a prędziej — niegodzi się żeby choroby czekał.

Magda porwała się szybko i pobiegła do kuchni, Organista ramionami ruszał.

Ksiądz tym czasem uważnie rozwiązywał zakrwawioną szmatę, która z krwią zapiekłą poprzystawiała do jasnych włosów chłopięcia, odwilżono ją, odjęto, i pokazała się rozcięta na czaszce głęboko skóra. Ksiądz ujrawszy ranę, na którą dziecko nie stękało nawet, wzdrygnął się, ale przemagając uczucie przykrości, jął się zaraz opatrywać, obmywać i zawiązywać.

— Może ci co dać jeść? spytał.

— Kawalek chleba odpowiedział Maciek, bo drugi dzień nie jadłem.

— Drugi dzień! I ruszył się proboszcz żywo za drzwi, ale Magda już go uprzedziła do kuchni.

— Mówi że drugi dzień nie jadł! mruknął Organista, żeby miał prawo lepiej od nas koło misy się uwijać. To podle!

— Powiesz mi co cię tu zapędziło, rzekł

proboszcz, ale wprzód, trzeba abyś zjadł i spoczął. Siedź, a nie ruszaj się, ja ci pościelę.

To mówiąc sam poszedł w kącie pierwszej izby robić posłanie.

— Sam ściele, mówił Organista pode drzwiami, a nie wie nawet dla kogo. Taki on zawsze, a Organisty to mu nie żal i każe śpiewać a śpiewać.

Gdy Klechowie pode drzwi podglądają, gdy Magda przygotowuje jedzenie dla Maćka, a Pleban sam ściele mu na ziemi; chłopak ogląda się ciekawie, bojaźliwie i składa ręce, jakby się modlił w duchu.

— Zmiłujcie się, rzekł, nie frasujcie o mnie, ja spocznę i pójdę dalej, spocznę na dworze, gdziekolwiek.

— Tu ci będzie lepiej. A naprzód zjecie co Bóg dał, potem się wypisz, a nareszcie mi powiesz coś za jeden i co ci się stało.

Pleban część swojej pościeli oddał dziecku i sam poszedł przyśpieszać jedzenie w kuchni,

które nareszcie wniosła Magda zamykając drzwi przed Klechami stojącymi w sieni.

Ciekawość przykuła ich do proga; ale widząc że pleban nie myśli się wypytywać przybyłego, aż po nakarmieniu i wypoczynku, pozostali w ganku oczekując opowiadania. Tym czasem zbliżało się południe, słońce coraz lepiej przygrzewało, a dzwonnik musiał odejść wydzwonić dwunastą.

Reszta Klechów zjadłszy obiad w kuchni usiadła znowu w ganku. Ksiądz czuwał nad dzieckiem, z brewjarzem w ręku, modlił się poglądając niekiedy na śpiącego, którego rysy twarzy, nabrały czerwoności ze znużenia, gorączki po opatrzeniu rany i pośilniejszego pokarmu.

Kilka razy Pleban odrywał się od modlitwy mimowolnie wlepiając oczy w chłopię, które go uderzało fizionomją, nie zwykłą pospolitym dzieciom gminu. Płeć nawet mimo opalenia, mimo zżółknienia i chudości, miała w sobie coś delikatnego, żywy rumieniec ją

krasił, ale to była czerwoność nie zdrowia —rozdrażnienia, gorączki.

Długo, długo myślał ksiądz o czémś nad posłaniem chłopięcia. Klesi ciągle dosiadywali w ganku, prócz Dzwonnika, który do szkoły spać poszedł. Magda zaglądała niekiedy uchylając drzwi, czy się przybyły nie przebudził. Nareszcie Maciek otworzył oczy zdziwione, jaśniejące żywym blaskiem, powiodł niemi do koła i zdał się przypominać gdzie jest, co się z nim stało.

— Niechcesz pić? spytał go łagodnie Proboszcz. Magda już pobiegła za wodą i przyniosła ją aby mieć powód posłuchać, co dziecko mówić będzie.

— Dziękuję, dziękuję, prawie płacząc odpowiedział chłopiec i chwycił rękę Proboszcza, którą gwałtem ucałował, pomimo że ją stary wyrywał, a łza kręciła mu się już w oku.

— No, teraz moje dziecko, jeśli cię to nie męczy, powiedz mi co o sobie.

Maciek powstał na posłaniu.

— Boję się, abyście mnie nie wzięli za kłamcę, za oszusta, odpowiedział, tyle się ze mną rzeczy dziwnych działo.

— Mów prawdę, moje dziecko — mów mi wszystko, może ci się przydam na co? Ty jeszcze nie powinienes nawet umieć kłamać, tak młody!

— I na cóż bym wam miał mówić fałsz? obcy przyszedłem, pójdę — a litości waszój wypraszać nie potrzeba, bo jęj i tak tyleście mi już okazali.

I powiódł ręką po czole.

— Któż jesteś? Kto twoi rodzice? spytał proboszcz.

W téj chwili Magda przycisnęła się do ściany ciekawie, jakby się lękała aby ją nie wyprawiono, a Klechowie słysząc głos dziecka skoczyli do drzwi, które nieznacznie roztwarli trochę. Maciek tak mówił.

— Szczerze ojcze, ja nic nie wiem o sobie, ani kto byli moi rodzice, ani gdzie się ro-

dził. Jak zapamiętam dawno, bardzo dawno, było mi bardzo dobrze na świecie.

Jak przez sen przypominam sobie, piękną młodą kobietę, która mnie bardzo kochała, którą nazywałem matką, ona mnie Stasiem. Ale to dawno i nie mogę przypomnieć, czy to jawa, czy marzenie. Mieszkaliśmy w pięknym pałacu. Zdaje się że poznałbym miejsce gdybym na nie trafił. Pałac stał na wysokim wzgórzu, a u stóp pagórka rozłożone było białe miasteczko, w niem kościółek i cerkwie.

— To na Rusi — rzekł Proboszcz do siebie.

— I cerkwie z blaszanemi kopułami. Pośrodku Rynku stał murowany Ratusz z wieżą. Dalej płynęła rzeka skalistém łożyskiem, dalej czerniały lasy na górach rozsypane. Koło zamku były stare, bardzo stare drzewa, takie same lipy jak tutaj, właśnie spojrzawszy na smętarz wasz, przypomniałem sobie moje dzieciństwo. Na pagórku za pałacem był ogród, gdzie mnie niańka moja Agata nosiła. Jak wielkie wschody okryte murawą, ciągnęły się

od zamku do rzeki, ogrodowe kwatery kondygnacjami. W pośrodku zasadzone były kwiaty piękne, jużem potem nigdy takich kwiatów w życiu nie widział. Wolno mi było je zrywać wszystkie, bawić się niemi. Agata mnie pieściła, a matka kochała bardzo. Nie wiem tylko czemu byliśmy zawsze sami i często ta którą nazywałem matką, gorzko, długo płakała.

Tak trwało dość długo, nie wiem co się potem stało, dla czego, Agata w nocy wyniosła mnie z zamku, oddała jadącym ludziom jakimś, a ci zawieźli daleko. Pamiętam, płakałem całą drogę, i nie prędko się utulił na miejscu. Tam już nie było matki, był domek mały, lichy, słomą kryty, kilka izb w nim białych, las do koła, sad owocowy smutny, stara jakaś kobieta. Zabroniono mi wspominać o matce, zaczęto mnie nazywać Maćkiem i stara mówiła żem jej syn.

Agata i dawniejsza moja moja matka, często w nocy mnie odwiedzały. To znowu nie

wiem jak długo trwać mogło, ciężkom się do nowego życia przyzwyczajał, stariej kobiety kochać nie mogłem. Ona pilnowała mnie jednak troskliwie, ale tęskno było za matką, która choć czasem na chwilę skrycie się pokazała, to mi ją nazywać mamą zabraniano i mówić o niej zakazywano. Ona przybywszy płakała zawsze, sadzała mię na kolanach i tuliła do siebie, a gdy przyszło się rozstać, to ją Agata gwałtem prawie odprowadzać musiała.

Jednej nocy wrzawa się zrobiła w domu, stara pochwyciła mnie z łóżeczka, skoczyła ze mną przez okno i ukryła się w sadzie. Słyszałem wołanie do koła, szukanie, chodzenie, i dopiero rano wróciliśmy do domu. W kilka dni Agata wywiozła mnie stąd. Droga była długa i nie wygodna; jechaliśmy wozem prostym, ja w sukmance, ona w siermiedze. Nocowaliśmy po lasach, w lichych budkach, a Agata ciągle się czegoś obawiała. Z pól rozległych i wzgórzystych, dostaliśmy się w lasy bez końca, smutne, czarne, gęste lasy, środ-

kiem których wiła się droga wążka zarzucona kłodami, poprzerzynana strumykami i błotnistymi brody. Czasem przerzadzał się las, widać było pole, lub szeroko rozłożone kąpiaste błota, ale za nimi lasy znowu, które zdaje się końca nie miały.

Stanęliśmy nareszcie we wsi jakiejś otoczonej także borem czarnym, w małym domku, w którym mieszkał stary już ksiądz. U niego zostawiła mnie Agata i tu znowu ucząc się trochę, swobodniej biegając, pobylem czas jakiś. Lat nie liczyłem, podrosłem, smutno mi jakoś było, Agata nie przybywała.

Przywykałem nareszcie i do nauki, do samotnego życia, gdy znowu ksiądz powiedział, że muszę się z nim rozstać. Powiedział mi że się nazywam Maciek Skowronek, że jestem ubogich rodziców dziecią, sierota i kazał iść do Krakowa uczyć się. Dali mi trochę pieniędzy na drogę, przewodnika do wielkiego gościńca i po kilka kroć powtórzy-

wszy jak mam iść, co robić, co odpowiadać jeżelibym był pytany, puścili już samego.

— Samego jednego! zawołała Magda.

— Strasznie to pachnie kłamstwem, dodał z za drzwi Organista, a dali mu jeść nierozpytawszy wprzód. I przepadło.

— Szedłem więc jałmużną żyjąc, po klasztorach i po szlacheckich dworach nocując, biędy kosztując, bardzo długo, sam jeden czasem, czasem w towarzystwie różnych ludzi, aż do Krakowa. Tu mi nieco lepiej być poczęło, ludzie dawali obfitą i nieproszoną często jałmużnę, wpisałem się do szkoły, dziękowałem Bogu, że mnie tu przyprowadził. Ale nie wiem dla czego wiele ludzi, rozpytywali mnie ciekawie, com był za jeden. Szlachcic imieniem Czuryło, żyd jakiś Kampsor bursy, sam Senjor pan Pudłowski, chcieli wymóżyć na mnie abym więcej co powiedział nad to, co zwykle mówiłem; to jest że'm był sierotą i nazywał się Maćkiem.

Tym czasem Agata pod odzieniem żebraczki przybyła do Krakowa.

— Patrzajcie, zawołała Magda, poczciwe kobiécisko.

— Powiedziała, że szlachcic który raz wraz jałmużny mi dawał, kazał wystrzegać się żyda, co mnie często także ujmował to datkiem, to dobrém słówkiem.

— Patrzajcie niewiernego! bąknął Magister za drzwiami, zbieć by gałgana na gorzkie jabłko, bo to nie bez celu!

— Jeden z braci Bursarzy, którego zwano pospolicie urwisem, ogromny barczysty chłop, na Ś. Gawel wybił mnie pod jakimś pozorem. W parę dni potém gdyśmy wyszli za jałmużną, pochwycił za rękę i powiódł do kościoła P. Maryi. Ja myślałem że do Agaty, która tam siedziała, ale on oddał mię w ręce dziadowi ogromnemu, którego wprzód raz widziałem, bo napastował był Agatę o to, że zebrała, ten pochwyciwszy mnie gwałtem, pociągnął za sobą, nie wiem dokąd. Szcześciem

w drodze napotkaliśmy pana Czuryłę, który począł mnie bronić, i kazał dziadowi puścić. Ale Lagus na ramiona mnie porwawszy uciekł. Wszczął się rozruch na ulicy, żacy bracia rozbiegli się mnie szukać. Dziad nie mogąc iść dłużej, schronił się ze mną w podwórko spalonego domostwa i wpadł do piwnicy zawalonej. Tu związawszy mi gębę chustą i przycisnąwszy ręką, abym nie krzyczał, nasłuchując ze strachem, siedział nademną długo; nareszcie począł chwyciwszy mnie za głowę tłuc nią o kamienie.

— O przekłety zbójca! zawołała Magda, ja go znam tego Lagusa.

Tu dopiero postrzegła się, że niepotrzebnie wymówiła ze znajomością, bo Proboszcz ostro spojrzął na nią. Ona dodała ocierając usta fartuchem.

— To jest, jak gdybym go już znała, tego łotra.

— Cóż dalej moje dziecko? odezwał się Proboszcz.

— Rozbiwszy mi głowę, gdym zalany krwią upadł na gruzy, dziad wychwycił się z piwnicy, podsłuchał i całkiem wypadłszy znikł mi z oczu.

Długo leżałem bez przytomny i jak ogłuszony, nareszcie bojąc się aby po mnie nie wrócił znowu, wyczółgałem się powoli z lochu i szmatą którą miałem ściśnięte usta, przewiązawszy głowę, oddaliłem o kilka kroków na kupę słomy i popiołu. Dalej już iść nie mogłem, a zawsze w strachu, żeby mnie nie znalazł dziad, zanurzyłem się w słomę i popiół, tak że snopek tylko narzucony na głowę, dozwalał mi trochę wolniej oddychać i oglądać się. Nadszedł wieczór, zmiierzch, potem noc. Słyszałem krzyki żaków w sąsiednich ulicach, ale nie śmiałem wyjść aby mnie dziad nie schwytał, a potem i słabo mi było.

Drzémałem, gdy głosy mnie zbudziły, przełąkłem się usłyszawszy Lagusa, który do piwnicy schodził. Z nim był ktoś drugi, żyd podobno, alem go dobrze widzieć nie mógł,

bo i ciemno było i jam się coraz głębiej za-
grzebywał ze strachu. Rozmowę tylko ury-
waną słyszałem.

— On tu jest, mówił dziad w lochu.

— Musiał uciec do téj pory.

— Nie, nie mógł uciec, bom mu głowę do-
brze natłukł i podobno rozkrwawił, a tak przy-
bił że się nie ruszy prędko. I gębę ma za-
wiązaną.

— Lepiej było nogi i ręce.

— Nie było czém.

Lagus zsunął się do zawalonej piwnicy
ale szukał, macał i chodził na próżno, począł
kłać. Skrzesali w lochu ognia i rozpalili la-
tarzę, obeszliz wszystkie kąty, znaleźli trochę
krwi po tynku, gdzie sobie palce ocierał.

— Uciekł, ale nie może być daleko, mó-
wił Lagus, on tu gdzieś się zaszył, ja go
znajdę. Słyszając to struchlałem.

— Okropności, zawołała Magda, aby go
tylko nie znalazł! Klechowicze słuchali i nie do-
wierzając patrzeli po sobie.

— Bajkę widzę plecie, a oni wierzą, trzęsąc głową rzekł Organista, poszedłbym już na piwo, darmo stoje bredni słuchając.

— Cicho, cicho, idę kiedy chcesz, odparł Magister przytulając się do przemkniętych drzwi. Maciek mówił dalej.

— Lagus wyszedł z lochu, a znalazłszy ślad nóg moich na popiele, w trop niemi poszedł z tym drugim, ku mojemu ukryciu. W oczach mi się zaćmiło, dech wstrzymałem, byłem pewny że mnie zobaczą, skurczyłem się i zamknąłem oczy, Ale widać ślady skończyły się u kupy słomy i popalonych snopków zrzuconych z dachu, bo Lagus kręcił się, mrucał, deptał, klął, począł chodzić w prawo i lewo, stąpił kilka razy aż na moją rozbitą głowę, ale żem ja ani stęknął, a słoma się wszędzie pod nogami jednakowo uginała, zszedł nareszcie do budowli, oglądał je długo z latarką, a nie znalazłszy nareszcie znowu do oczekującego żyda wrócił.

— A co?

TOM II.

6

— Nie ma, lichu wie co się z nim stało! Ale musi tu gdzieś być niedaleko, bo przybiły dobrze, daleko się nie zawlókł. Ja tu się położę i będę czekał do dnia, po dniu jak zaświta, to go znajdę.

Chwilkę jeszcze gadali, potem żyd odszedł, a Lagus został, położył się na słomie obok mnie, skrobał, stękał i nareście zasnął. Jak tylko usłyszałem chrapanie jego i upewniłem się że spał, wywlokłem się mimo bólu i strachu z ukrycia, prześliznąłem mimo, wyrwałem z podwórza i począłem uciekać, co mi tchu stało, padłem na murawie i do dnia leżałem. Jak dzień, bojąc się aby mnie znowu Lagus nie pochwycił, począłem z Krakowa uciekać, sam nie wiem dokąd, dostałem się aż tutaj.

Chłopiec zamilkł, Proboszcz który przez czas opowiadania pilnie się w niego w patrywał, zdawał się szukać w jego oczach i twarzy, dowodów prawdy całej powieści.

— I cóż myślisz począć z sobą? spytał go ksiądz.

— Nie wiem, pójdę, rzekł Maciek, pójdę w świat gdyby Agata wiedziała co się ze mną stało! szepnął.

— Gdzie jest Agata? gdzie ją znaleźć spytał ksiądz.

— Mówiła mi że będzie siedzieć pod kościołem P. Maryi.

— A tym czasem zostaniecie u mnie dodał zamyślony Proboszcz, spoczniecie.

— Już go wziął pod opiekę, rzekł Organista. Więcej jedną gębą, a obiad obiadem, taki sam jak wczoraj. Nie ma na świecie sprawiedliwości!!

— Nie wiem, gdzie. Tylko Maciek, gdzie
wskazywał, gdzie widział, co się stało
stało! Kłopot!

— Gdzie jest Ignacy? Gdzie jest? Znaleźć spy-
tał kądź.

— Mówiła mi że będzie siedział pod ko-
ściołem P. Maryi.

— A tym czasem koczowniczo i tu i tam do-
kazywany Proboszcz, spoczniesz.

— Jutro go wzięją pod opiekę, tylko Orga-
nista. Wiesz, jeden z tych, a obiad omdla-
taki sam jak wczoraj. Nie ma na świecie
sprawiedliwych!

1840

3

Wstałszy, Proboszcz już wstał i pacierze odmawiał, poszedł zbudzić czeladź na przeciwko i posłał po Organistę i Dzwonnika.

W szkole spoczywali wszyscy Klechowie i spali jeszcze w najlepsze, gdy kołatać zaczęła do drzwi Magda, wołając.

NAZAJUTRZ bardzo rano, jeszcze na dzień się nie zajmowało, ksiądz Proboszcz już wstał i pacierze odmawiał, poszedł zbudzić czeladź na przeciwko i posłał po Organistę i Dzwonnika.

W szkole spoczywali wszyscy Klechowie i spali jeszcze w najlepsze, gdy kołatać zaczęła do drzwi Magda, wołając.

— Wstawajcie, koguty już piały, ksiądz Proboszcz się obudził, każe na pacierze dzwonić, będzie miał rano mszą, bo chce jechać do Krakowa.

Ale napróżno stukala; głębokim snem ujęci, po wieczorniej wczorajszej biesiadzie, rybałci zbudzić się nie dawali, i jakby przeczuwając to najście, podparli kolkiem drzwi szkoły wewnątrz.

Od drzwi poszła Magda do okna i kołatać zaczęła znowu. Głuchy Dzwonnik przewrócił się na drugi bok, a Organista którego sny niespokojne trapiły, pierwszy się schwyił.

— Wstawajcie, wołała Magda.

— Co? ogień! złodzieje? krzyknął—że nas budzicie po nocy?

— Już dzień, Proboszcz wstał.

— Gdzie dzień, gdzie dzień! Wstał! wielka rzecz! ja nie wiem czy on kiedy śpi! Jak on żyje! nie nie je, nie pije piwa—jeno wodę, modlitwą jedną się krzepi, dziwny człowiek. Ależ to noc.

— Zrobiwszy z nocy dzień w karczmie, teraz z dnia chcecie zrobić noc, wstawajcie no. Niechaj dzwonią na pacierze, już szósta, na półzegarzu. Organista kulakiem w bok szturechnął Dzwonnika.

— Do ciebie piją bracie, idź dzwoń.

Ten się przeciągnął, splunął, ziewnął i znowu położył.

— Wstawajcie, wołała ciągle Magda u okna do kościoła.

— Do kościoła! po nocy! Jeszczeż nie Rotaty mruczał Organista. Dość — że człowiek musi chudnąć, bo się ani naje, ani wyśpi, ani napije.

— A wczoraj słyszę, dobrzeście dokazywali w karczmie.

— Już! dokazywali! powiedźcie to jeszcze Proboszczowi! rzekł Organista zbliżając się do okna. Ja wam powiem czystą prawdę jak to było.

— A wprzódzy pobudźcie waszych.

— Zbudzą się i sami, bo już oto Dzwonnik łaje, a kiedy zacznie łajać to i wstanie.

— Jakże to było? spytała Magda, zawsze ciekawa, tuląc się do okna mimo chłodu rannego i lekkiego przyodziejka który miała na sobie.

— Oto tak, całkiem szczerą prawdą, jakem poczciwy.

— Słucham tedy.

— Ku wieczorowi, po waszej wieczerzy, gdzie taki, (uderzcie się w piersi) bo klusek było omal, jak zawsze, a gęba jedna przybyła na nie, poszliśmy z Magistrem, tak sobie wsią. Boże uchwaj, bez żadnej myśli, powietrza zachwycić.

— I cóż tedy, coście zachwycili?

— Ot co posłuchajcie. Spotykamy Bartosza Czołem, czołem. Daj Boże dobry czas — A jak tam na polu. Gadu, gadu, idziemy. Mnie czegoś zaczyna się w gębie robić sucho, ale sucho jak w piecu, gorąco, piecze, szarpie. E! źle, myślę—choroba. Mówię o tym Bartoszowi,

a on na to. Nie ma jak poplókać piwskiem. Właśnie dobre w karczmie. Ja się wymawiam.

— Wy! wy!

— Istotnie, słowo uczciwe, żem się wymawiał, nawet od pokusy chciałem odwrócić, ale Bartosz zawołał. Ja stawię. To już co innego. Dałem się namówić. Garniec na nas trzech, istotnie kropla nie więcej. Idziemy, pijem. Aż tu nadchodzi Strzępa, Brożycki, Janko Zawalidroga, Skuba, Swidrzycki, inni. Poczynają stawać, każdy prosi i tak zabawiliśmy się wesoło i uczciwie do północka.

— Bez guza? spytała Magda.

— Ja tylko o uszak sobie łba nadbiłem, ale był Rektor, a jak on jest, to nie minie na sucho. To on tam sobie trochę pięści natarł, ale bez wielkiego przypadku obeszło się. Janko Zawalidroga, ma oko podbite, pewnie przyjdzie dziś do was po lekarstwo, ot będziecie mieli i jaja na piątek, bom mu nawet powiedział, że jaj potrzebujecie.

Gdy Organista spowiada się przed ciekawą

Magdą, inni wyciągają i wstają powoli, Dzwonnik mruczy, Magister maca się gdzie wczoraj oberwał szturchańca.

— Ot i dzionek, wstawajcie, a do kościoła.

— Otóż to życie nasze! jak świt do kościoła, a wyspać się nie ma kiedy, żeby człowiek nie litował się nad księdzem, to by go dawno porzucił. To mówiące Organista ziewnął i począł wdziwać czarny łatany kubrak, który w nocy służył mu za kołdrę, a we dnie za suknię.

W plebanij palił się już ogień na kominie kuchennym, płonęła świeczka w lichtarzu w księżej izdebce, Proboszcz czytał Brewjarz, skuliwszy się od chłodu na łóżku, Maciek spał jeszcze.

W tém głos wielkiego dzwonu rozległ się powoli wzywając na pacierze. We wsi coraz gęściej zabłyśły światła i dobrze już na dzień wybierać się począło, bieląło wschodnie niebo, biegały na zachód gęsto ścisnięte obłoki.

Jak tylko rozwidniało, ksiądz poszedł do

kościola, z nieukontentowanym Organistą, który się za gębę trzymał, stękając na ciężki ból zębów.

— Cóż ci to takiego? pytał Proboszcz.

— Nie wiem co mi takiego — Inflamacya.

— Zbytne użycie trunku.

— To są potwarze Reverendissime, potwarze Magdy długojęzycznej. Ale je cierpię niewinnie i cieszę się z prześladowania, przyjdzie czas że wszystko wyjdzie jak oliwa na wierzch.

Proboszcz nie odpowiedział, zbliżali się do Zakrystij i wchodzili do kościoła.

Miło było zajrzeć do niego. Stary ten i opuszczony dawniej budynek, teraz jaśniał świeżością, i piękny był nie bogatemi ozdobami, ale starannem utrzymaniem i nieporównaną czystotą. Szara światłość wschodzącego dnia wpadała doń przez długie z szyb maleńkich w ołów oprawnych złożone okna. Podłoga wyłożona siwym kamieniem, wymieciona i zmyta połyskiwała. W pośrodku na-

przeciw ołtarza wielki z czterema żelaznemi kółkami kamień grobowy, wskazywał wejście do sklepów. Kilka innych nagrobków, zatar-tych nogami widniały tu i owdzie wypuklejszym herbem lub ozdoby otaczającemi. W ścianach także wpuszczone kamienie z postaciami rycerzy w całej zbroi, popiersiami i napisami, zdobiły przysionek i nawę. Sklepienie ostre i śmiałe, z gzymsowanemi kąty, wznosiło się malowniczo nad kościołem i bocznemi kaplicami.

Przez dwa jego otwory spuszczały się na sznurze ozdobnym lampy: gorejąca u ołtarza i wielki brązowy ze szklami świecznik.

Wielki ołtarz roboty snycerskiej, zdobiły drewniane, biało pomalowane posążki dwóch świętych Ewangelistów; robione kwiaty stały do koła obrazu i Cymborjum w niebieskich złocistych naczynkach. Wszędzie czystość i porządek, wszędzie znać było nieustanny dozór księdza. Ściany, podłogi, ołtarze, nagrobki nawet, chór, ambona, połycki-

wały, i drzewo ławek świeciło się wytarte niedaléj jak wczora. Na chorągwiach nie dojrzałeś pyłu, ani pajęczyn za obrazami, ani kupek śmieci po kątach. Pozapalawszy świece, Organista oczekiwał w zakrystij na Albertusa, który zwykle do mszy służywał; sam potem mając pójść na chór, gdzie już Dzwonnik próbując miechów czy nie łapią kalikować poczynął; gdy drzwi się otwarły i Maciek z obwiązaną głową wsunął się.

Proboszcz się odwrócił i spytał go.

— Czegoś wstał chłopeze tak rano?

— Zadzwoniono na mszę, odpowiedział Maciek.

— U księdza to najlepšíj być obcym. Mruknął Organista, ot temu bębnowi, co się wczoraj daleko wcześniej odemnie położył, jeszcze wymawia że wstał rano; a mnie posłał budzić!

Maciek narzucił komżę, wziął mszał i stanął we drzwiach zakrystyi, trzymając za sznu-

rek od sygnaturki. Ksiądz nie już nie powiedział, tylko szepnął chłopcu, cicho.

— Msza Święta, na twoją intencją.

Wyszli, zabrzmiał organ, nabożeństwo się rozpoczęło. Oprócz Magdy, Dzwonnika i Albertusa, który się przywłókł na *Sanctus*, nikogo nie było w kościółku.

Dwa kubki mléka, już oczekiwały na Proboszcza i Maćka, gdy powrócili; Organista który je napatrzył w kuchni zżymał się widząc że będzie musiał czekać na ogólne śniadanie.

— Obecemu zawsze lepiej. Nie ma i nie ma taki sprawiedliwości na świecie!

— Powiedźcie Dzwonnikowi, niech mi konia do wózka zaprzęże, rzekł ksiądz, i poda pod ganek.

— Chwała Bogu, jedzie, szepnął Organista to i dobrze, człek spocznie. W tém Proboszcz ku niemu się obrócił.

— Wy zaś pamiętajcie dziś i jutro, jeśli bym nie wrócił, o kościele; niech chwala

Boża za mojej niebytności nie cierpi. Proszę odegrać i odśpiewać nieszpór, a jutro rano Różaniec.

Organista w głowę się poskrobał.

— Jeślibym zaś sam nie był poproszę po drodze Wikarego z Olszowa, aby ze mszą przyjechał.

— Taki i dnia nie da spocząć! ruszając ramionami rzekł Klecha. Cóż z nim począć, uparty i nieprzeparty. Byłbym poszedł na jaki dzień do Łeszczycy, a tu nie ma sposobu.

Za chwilę wózek stał zaprzężony w ganku.

— Wy zaś Magdo, rzekł Proboszcz wdziewając płaszcz, pilnujcie chłopięcia tego aby miał wygodę, do mego powrotu.

To mówiąc wsiadł do wózka i przeżegnawszy się jak zwykle czynił przed każdą drogą, poczawszy modlitwę po cichu, zaciął konia z lekka i z bramy probostwa drogą ku Krakowu się posunął.

Na probostwie bezkrólewie, z którego Klechowie radzi byli bardzo i gdyby ich Magda

nie wstrzymywała, pozwolili by sobie wiele. Magister dał żakom pokój i razem z Albertem, Organistą i Dzwonnikiem, posiadali na ganku, stękać po swojemu.

Miało się już ku południowi, gdy im brakło przedmiotu do rozmowy, dawno wyczerpanego nieustannemi gderaniami i poczęli wszyscy ozierać się, ziewać, oczekując tylko obiadu, aby się spać położyć, lub ruszyć po wsi za jałmużną zwyczajną. W tém furta skrzypla, psy zaszezechały i rzuciły się ku niej, wszedł odarty dziad.

Magda na głos psów wyrwała się z kuchni, spojrzała, zbladła, ale szybko dała znak w krąg wszystkim, aby milczeli — poznali Lagusa.

Sama pobiegła do izby i ukryła Maćka w alkierzu, a powróciwszy stanęła w ganku. Olbrzymiego wzrostu, barczysty, zarosły, w pół zgiąwszy się, dla nadania sobie pozoru starości, szedł Lagus, klepiąc pacierz i rzucając

na wszystkie strony oczyma, których białka migały dziwnie.

Klechowicze domyślili się nieco, po znaku Magdy, iż poznała Lagusa, lub wreszcie przeczuła go, spojrzeli po sobie, pokręcili głowami, czekali. —

— Niech będzie pochwalony — ozwał się dziad stojąc u słupa, oganiając się psom, i szukając oczyma to tu, to owdzie, jakby się co ujrzeć spodziewał.

— A skąd to Pan Bóg prowadzi? rzekła Magda drżącym głosem.

Lagus podniósł głowę, długo wlepił w nią oczy, zdawał się dziwić, chcieć coś powiedzieć, potem szepnął.

— Z Krakowa.

— A do kąd?

— Gdzie oczy prowadzą. Zwyczajnie dziadowska droga. Magister ścisnął pięść, przypomniawszy sobie wczorajszą przez chłopca opowiedaną historią i czując już w sobie ochotę wojowania.

— Co tam słychać w Krakowie!

— Ah nie, wszystko po staremu.

Milczeli znowu, dziad ciągle się oglądał i westchnął.

Magda mu wyniosła chleba kawałek do torby i powiedziała.

— Idźcie z Bogiem, księdza Proboszcza nie ma w domu.

— Pozwólcie mi przynajmniej spocząć.

— Czemuż, czemuż — spocznij sobie, mój kochany, usiądź posil się. Więcej ci dać nie możemy, bo i nie ma co.

— Już to wiem, rzekł dziad, co plebanja to nie dwór, zwłaszcza kędy Klechów dużo.

Magister ścisnął pięść i zęby razem, chciał już kułakiem w bok poczęstować przybylca, ale spojrzawszy na ramiona jego dał pokój.

— Mógłby oddać, pomyślał, niech go kaduk, zdaje się silniejszy od Janka Zawalidrogi.

Po chwili milczenia, Lagus rozpoczynając westchnieniem, spytał.

— Nie widzieliście tu czasem jakiego chłopaka, sieroty?

Wszyscy spojrzeli po sobie, Lagus, który w tej chwili chleb z torby dobywał i oczy miał spuszczone, nie widział tego.

— Kogo! kogo!

— Oh tak chłopięcia, sieroty?

— Jakże on wyglądał?

— A był tu jaki?

— Wczoraj, obojętnie zawołała Magda, ale dziś rano przenocowawszy tu—poszedł dalej. Cóż to za jeden? Nieborak, miał głowę skaleczoną, mówił że się uderzył.

Lagus podniósł oczy szybko, popatrzył i dodał.

— Doprawdy? skaliczył się, biedniaczek! i bardzo?

— Dosyć mocno w głowę.

— Opatrzyliśmy go tutaj, dodał Albertus.

— A dokąd pociągnął?

— Oto wsią przed siebie, nie wiadomo dokąd. Ale czemuż to o niego pytacie?

— Bo to moje dziecko!

— Twoje, rzekł Magister tamując się, aby nie uderzyć Lagusa i miarkując pod spojrzeniem Magdy.

— Juściż! kawał łotra! Uciekł mi z Krakowa, to za nim się wlekę.

— O! dogonicie go rychło, rzekła Magda, bo powoli się wlecze, słaby nieborak.

— Lagus, który przed chwilą miał odpoczywać, wstał, pochował co wyjął do torby i zarzuciwszy ją na plecy, rzekł —

— Ot, trzeba mi za nim śpieszyć, bądźcie zdrowi, Bóg zapłać. Żaki i po drodze wszyscy mi mówili, że go tu widzieli idącego. Niech będzie pochwalony.—

Odechodząc rzucił okiem na Magdę, która z niespokojnością wyglądała, żeby ruszył, ciągle dając znaki Klechom, aby się czém nie wydali.

Tylko co był za furta i psy go odprowadziły szczekaniem, a już w ganku po milczeniu chwilowém, wrzała rozmowa ożywiona.

Lagus spojrział przez płot zastanowił się, przyczaił, poszedł kilka kroków aby go widzieli i zawróciwszy na smętarz, po pod murem przesunął, furtką ku plebanij wcisnął, między drzewy począł schylony przełazić, aż się dostał naprzeciw ganku, skąd mógł głosy rozmawiających słyszeć.

Magister wykrzykiwał najgłośniej.

— Patrzenie zuchwalca, i goni za nim.

— Ale bo kto wie, rzekł Organista, któremu ciągle tkwiło w myśli, że go sierota będzie odjadał, może to wszystko bajki, co on gadał, a to istotnie wisus jaki i własne jego dziecko?

— Wstydz się, wstydz się, przerwała Magda z oburzeniem, takie rzeczy przypuszczać. Toż mi z oczów prawda patrzy temu dziecku i także pańską ma twarzyczkę. Ja nie wiem.

— A ja wiem, przerwał Klecha, że byleby gdzie się dymiło z komina, to darmożjady się znajdują. Radzi jesteście żeście nowego złapali? księdzu w to graj!

— I mnie się zdawało z początku, odezwał się Magister, że to wszystko wierutne bajki, ale teraz zaczynam wierzyć po trochu, bo ten dziadziśko, ma zbujecką twarz i wejrzanie takie, że się na widok jego same pięści ściskają.

— Wam to i na widok innych się trafia.

— Człek nie kamień, rzekł Mistrz.

Długo tak rozmawiali, a Magda pobiegła przestraszonemu chłopięciu, dać znać że dziad już poszedł uspokajając je i zalecając aby do okien nie chodził.

Tym czasem Lagus lękając się aby go nie zobaczono, po chwili wysunął się nazad na Smętarz ze Smętarza na drogę ku wsi i poszedł ku karczmie. Obejrząwszy dobrze położenie plebanij, przejścia, bramki, zamknięcia, usiadł zamyślony na karczemnej przyźbie. Tu dobywszy chleba i słoniny, a potem jakiegoś proszku z gałgana, począł kręcić gałki, pozawijał je w szmatę, schował do torby, a

spojrzawszy na słońce, na kupie siana w sieni położył spać.

Jak tylko obiad zjedli Klechy każdy w swoją stronę rozeszli się, ci za niedobranem snopkowem czyli *petycją*, inni do znajomych, Organista nasz do karczmy, jak zwykle niby bez celu z założonemi w tył rękoma, ale w istocie szukając tylko powodu, aby zajrzeć garncowi piwa w oczy.

W téj przechadzce tak się nieznacznie zbliżył pod samą karczmę, drzwi jakoś znalazł otwarte, żyd się z nim przywitał, potem chłodno było na dworze, musiał więc wejść i usiąść na ławie. Na stole właśnie stała kwarta piwa jakby przygotowana. Umoczył usta tylko dla sprobowania, a umoczywszy je, pił żeby się rozsmakować.

spodziewany na słońce, na kupie siano w sie-
mi położył spać.

Jak tylko obiad zjedł klebki kaźdy w swo-
ją stronę rozszedł się, ci za niedobranem snop-
kowi byli powycy, inni do kuziołycz, Or-
ganista nasz do karczmy, jak zwykło było
bez celu z zależaniem w tył rękoma, ale w is-
tocie szukając tylko powoła, aby xpiżóć

garncowi piwa w oczu.
W tej przechadzce tak się nieznacznie zbli-
żył pod samą karczmę, drzewi jakos znalazł
otwarte, zszedł się x nim przywiał, gotem chlo-
dno było na dworze, musiał więc wejść i
usiąść na ławie. Na stole właśnie stała kwar-
ta piwa jakby przygotowana. Umoczył usta
tyłem dla spróbowania, a umocowywał je, pi-
żęby się rozsmakować.

PROBOSZCZ W KRAKOWIE.

Naszymi opowiadanie, jak kiedyś Pro-
boszcz nasz dojechał do Krakowa, jak stał
z K. K. Bernackim, gdzie go wzięto przy-
jąć, jak byłoby do kłótni na modłę,
pojem się miał na umyśle.

Wielki ksiądz, który dawno już stolicy nie
walczył, czuł się w niej bardzo obcym, wy-
racał jego zamiar kądś innego byłoby

PROBOSZTWA W KRAKOWIE

IV.

NIE będziemy opowiadać, jak ksiądz Proboszcz nasz dojechał do Krakowa, jak stanął u K.K. Bernadynów, gdzie go serdecznie przyjęto, jak naprzód do kościoła na modlitwę, potem się udał na miasto.

Biedny ksiądz, który dawno już stolicy nie widział, czuł się w niej bardzo obcym, wytarta jego sutanna każdego innego byłaby

wstrzymała, ale on nie wstydził się swojego ubóstwa, nie lękał się niczego, nie był przystępnym śmiechom ludzkim. Po nabożeństwie posunął się wolnym krokiem ku kościołowi Panny Maryi, ale zbliżając się, miarkował że nie wie jak dopytać się o Agatę, gdyż może być nie jedna żebraczka tego imienia pod kościołem. Biędział się więc zawczasie i potrząsając kilką groszakami z kieszeni dobyłmi, szukał oczyma twarzy, któraby większą w nim ufność wzbudziła.

Wszysey żebracy siedzący na smętarni (to jest na placyku otaczającym kościół) wyciągnęli razem ręce, widząc zbliżającego się z groszami w ręku księdza.

— Na miłość Bożą, groszyk jałmużny!

— Mój ojcze, miejcie litość nad biedną kaleką!

— Groszyk ślepemu!

— Szeląg mnie, ojcze!

— W imie Najświętszej Panny.

— Na kości S. Stanisława.

— Będziemy się modlić za was.

— Niech was Bóg pocieszy.

— Ja mam dziecko i t. p.

Wszyscy swym krzykiem głuszyli biednego Proboszcza, który stał, wahał, niewiedział co począć, dzielił jałmużnę a widząc że mu nie wystarcza przygotowanego, dobył resztę jaką miał.

— Niemógłby mi kto z was powiedzieć, odezwał się wreszcie, gdzie tu jest, nie jaka Agata, niedawno przybyła?

Wszyscy spojrzeli po sobie, zdziwieni że o ich towarzyszkę pytano.

Musi to być coś w tém! mruczały zazdrośne. Patrzajcie! Agata — już ją znają.

— Agata, rzekła siedząca na rogu babka. Była ona, ale jój nie ma, dziś podobno nieprzychodziła. Wszak nie przychodziła?

— Nie, nie, i wczoraj jój nie było, rzekł ktoś z boku.

— Ale na cóż jój potrzebujecie, może to i kto inny potrafi? ojcze?

— Nie, nie, to ja, chciałem tak informacji.
Więc powiadacie że jej nie było?

— Dziś i wczoraj nawet.

— A nie wiecie gdzie mieszka?

— A gdzie ma mieszkać? na bruku jak my.
Zresztą kto ją wie, to jakaś wielka pani, bo się drogo do Bractwa wkupiła.

— Może pan pisarz wie, zawołała druga
bo oni się dawno znają.

— Jaki pan pisarz?

— A naszego Bractwa. Pielgrzym Groński.

— Gdzież go można znaleźć?

— Zawsze siedzi w gospodzie.

— W jakiej?

— Ot tu, w naszej i kilka rąk wskazały
na dom Bractwa.

Ksiądz pomyślawszy chwilę udał się tam.
Zastał Grońskiego nad książką, modlącego się
i przebierającego różaniec.

Na widok duchownego powstał stary, uca-
łował jego rękę i otarłszy ławę, prosił usiąść.

— Dziękuję wam, rzekł ksiądz, ałem ja tu

do was za interessem. Niewiecie co się stało z Agatą, zebraczkę u P. Maryi.

— A cóż się z nią stać miało?

— Gdzie jest?

— Musi być pod kościołem.

— Nie ma jej od dwóch dni. Miałem potrzebę widzieć się z nią.

— Jakto! nie ma, zawołał Groński. Dziwna rzecz, oto temi dniami, jeden z Biczowników Bractwa i ona znikli nie wiedzieć gdzie.

Ksiądz milczał, Groński ozwał się po chwili.

— A wy ojcze, nie o dziecko, którym Agata się opiekuje pytać chcieliście?

— Skąd że wy wiecie o niém?

— Ja, rzekł pisarz, znam Agatę dawno i wiem całą dziecięcą historją.

— Wy?

— Jeszcze przed pielgrzymowaniem mojem do Rzymu, leżałem z choroby w domu księżnej, matki dziecięcia.

Księżnej? mówicie?

— Tak Ruskie to książęta, Sołomereccy;

ale jeżeli wola i łaska, ja wam wszystko opowiem.

— Bardzo was proszę, rzekł dziad siadając, słucham.

Brat Groński usiadł niżej na ławie i począł księdzu opowiadać to co słyszał od Agaty. Powieść jego tak się zgadzała z opowiadaniem dziecka, że Proboszcz coraz bardziej zajęty i poruszony, zaledwie dosłuchawszy opowiadania, pożegnał pisarza i udał się rozpytywać Senjora szkoły Pudłowskiego.

Pudłowski był mu dawno znajomy, nie wahał się więc zabiedz do niego i coś więcej jeżeli można dowiedzieć.

Szkoła była pusta, i Proboszcz dwa razy pociągnąć musiał kozią łapkę, nim mu z widoczną niecierpliwością człowieka, oderwanego od pracy, otworzył Senjor. Chwilę popatrzał zmordowanemi oczyma na Proboszcza nim go sobie przypomniał; nareszcie opuścił drzwi i uśmiechając się z przymusem do środka poprosił.

— Dawno niewidzianego, dawno, rzekł jękając i niespokojnie oziérając się na drzwi do drugiej izby. Cóż za szczęśliwy traf sprowadza?

— Rad jestem że was w dobrém zdrowiu zastaję.

— Jakkolwiek dosyć.

I wskazał na krzesło, z którego zrzucił na ziemię czapkę żydowską. Czapka ta dowodziła, że Hahngold był u Senjora zamknięty w drugiej izbie.

Proboszcz nie mając czasu do stracenia rozpoczął pytania.

— Straciliście jednego z waszych zaczków rzekł, niedawno.

— A! tak, nie pamiętam, ~~tak!~~ podobno. Jakże się zwał! zaraz! Maciek Skowronek! Wiecie o nim?

— Trochę, rzekł Proboszcz, ale wprzód powiedzcie mi co wam o nim wiadomo.

— Prawdziwie, to coś niepojętego, niechę-

tnie odrzekł Pudłowski, już mnie kilka osób o to dziecko pytało. Jednak to *plebeius*.

Ksiądz się uśmiechnął.

— Nie tak jak myślicie.

— Jak to? Sierota z Rusi?

— Sierota, nie całkiem, a co się tycze plebejuszostwa, *princeps non plebejus, ex sanguine procerum Regni*.

Pudłowski osłupiał i zerwał się z krzesła, ale ksiądz w tej chwili zwróciwszy oczy na żydowską czapkę z żółtym aksamitnym wierzchem, położył palec na ustach.

— Jak? co? kto? począł pytać Senjor.

— Ktoś tu u was jest?

— To, to, Kampsor nasz, dla spraw Bursy, to najlepszy człowiek.

Ksiądz głową niedowierzając poruszył.

— Dość wam rzekł, na ten raz wiedzieć, że dziecę to, ma nieprzyjaciół, co je zgubić pragną, że tu w Krakowie jest ktoś co nań czyha, że wydane zostało w ręce dziadowi, przez niejakiego *confratra*. żaka przezwanego

Urwisem. Weźcie go na spytki, kaźcie zawołać.

Pan Pudłowski zajęty całą nowiną, wybiegł za Urwisem, z małą jednak nadzieją żeby go złapać można, bo żak ten częściej był pod oknami mieszczek, niż w Bursie. Dziwnym przypadkiem zszedł go Senjor na wschodach.

— Chodź tu zakrzyczał, chodź tu, mam ci coś powiedzieć.

Urwis chciałby był uciekać, bo mu czegoś pilno było, ale nie miał sposobu. Spuściwszy uszy wszedł powoli na górę, przemyślając tylko, za które z niezliczonej liczby przestępstw, kara nastąpi; Pudłowski w milezeniu wprowadził go do izby i jakby chciał go bardziej jeszcze przestraszyć, zaryglował drzwi za nim.

— A teraz, rzekł, chceszli wyjść cało, mów prawdę.

Urwis pobladł.

— Ty wydałeś w ręce żebraka Maćka Skowronka?

Zaciął się żak, ale prędko rzekł zbierając na odwagę.

— Ja.

— Za co? i dla czego?

— Chyba nie wiesz żeś go wydał na stracenie? na śmierć? dodał ksiądz.

— Na śmierć? zawołał Bursarz załamując ręce — ja! ja!

W téj chwili dał się słyszeć szelest za drzwiami drugiej izby.

Senjor i Proboszcz zwrócili oczy, ale prędko je znowu skierowali na żaka, który miał lzy w oczach. Urwis był największym łotrem, ale myśli że wydał na zginienie brata, że popełnił największą w przekonaniu swoim zbrodnią, zdradzając tego kogo bronić był obowiązany, przejęła go tak, że na kolana upadł.

— To być nie może! zawołał, ja! ja! Ja powiem wam wszystko, całą prawdę.

— Mów, ozwał się Senjor.

— Wczorajem spotkał mnie dziad Lagus i począł pytać o Maćka. Są tu powiada jego

krewni, co mu dobrze życzą, przyjdźcie z nim do mnie, ja go im przywiodę. A jeśli się będzie opierał, nie nie zważajcie, choćby płakał, nagrodzą mu się te łzy, bo on nie wie jakie go szczęście czeka.

— W istocie czekało go, dodał pleban, porwanie zbojeckie i mało nie śmierć, rozbicie głowy.

Żak uszy sobie zatknął, powstał żywo i krzyknął.

— Zabiję tego psa dziada.

— Dajcie mu pokój, przyjdzie nań kara i bez was.

— Ale gdzie jest Skowronek? kto go ocalił?

— Bądźcie o niego spokojni, a dziękujcie Bogu, że was od ciężkiej zgryzoty sumienia uwalnia.

Pudłowski na skinienie księdza odryglował drzwi w milczeniu, a żak w pół oszalały, wyszedł, raczej poleciał pod kościół szukać Lagusa, którego jednak nigdzie znaleźć nie mógł.

Proboszcz tym czasem pomówiwszy z Senjorem, któremu wszystkiego co wiedział, nie widział potrzeby mówić, dawszy jednak do zrozumienia że chłopiec u niego się znajduje, pożegnał go i odszedł.

Ledwie się drzwi za nim przywarły, gdy drugimi blady, pomięszany wszedł z kryjówki swojej Hahngold.

— Skąd ten ksiądz? spytał się Pudłowskiego.

— Stąd nie daleko, z okolicy, gdzieś z pod Proszowie podobno, doprawdy nie pamiętam miejsca.

Hahngold wziął za czapkę.

— Muszę śpieszyć, rzekł, wybaczenie, czas drogi.

— A moje strusie skrzydła?

— Będą, będą! To mówiąc Kampsor łapał za klamkę i spuścił się żywo ze wschodów, tak że odchodzącego powoli Proboszcza, zastał jeszcze w ulicy. Tu obejrzawszy się do koła, nacisnąwszy na uszy czapkę, nasu-

nąwszy pod brodę płaszcz, posunął się powoli za księdzem.

Proboszcz powracał już do Klasztoru, nie mogąc nigdzie wywiedzieć się o Agacie, postanowił powrócić do domu, aby czuwać nad chłopięciem. Dnia tego późno już mu było powracać, chciał więc przenoćować u Bernardynów, a nazajutrz rano odjechać.

Żyd poszedł za nim aż do furty, i widząc księdza wchodzącego do Klasztoru, jakby się namyślił, zawrócił w miasto. Na zakręcie ulicy spotkał go zielono ubrany nieznajomy.

— Ja was szukam, zawołał żyd łapiąc.

— Mnie, a cóż?

— Chłopiec jest.

— Gdzie.

— Wiem gdzie, ale nie ma na to rady, bardzo się już sprawa rozmazała. Przyjechał tu ksiądz dowiadywać się o niego. On na wsi u księdza.

— Daleko?

— Koło Proszowic, ale Lagus go znajdzie, bo już poszedł szukać w tę stronę.

Nieznajomy zamyślił się.

— Trzeba kogoś więcej posłać, wyście mi przyrzekli, róbcież.

Kampsor brał się za brodę i głowę kiwał.

— Naprzód by wiedzieć miejsce. Aj! aj, co mnie to pracy kosztuje!

— Przynajmniej nie mówcie żeście nie zapłaceni!

Żyd ramionami wstrząsł z pogardą.

— Taka sprawa?

I odszedł. Udał się wprost stąd do szynkowni krzaczkowej, którąśmy wyżej opisali. Tu jak zawsze nie brakło pijących i zgromadzenie pod wieczór zwiększone, szumnie się nad kuflami bawiło.

Żyd głowę tylko we drzwi wcisnął, dał jakiś znak i wywiódł za sobą, potężnego młodego chłopca z krzywą ręką. Był to znajomy mu żebrak zwany od swego kalectwa krzyworączką, siedział on pod kościołem K.K. Ber-

nardynów, jadł w klasztorze i sypiał tam, posługując ile mu kalectwo dozwalało. Kampsor znał go, jak znał wszystkich prawie uliczników.

Dobrył grosz biały i pokazał go.

— Kto wczoraj zajechał do Bernardynów z księży?

— Proboszcz z pod Proszowic.

— Jak się nazywa.

Żebak całą rękę wyciągając po datek, powiedział nazwisko, żyd odszedł szybko, a krzyworączka wrócił do szynkowni uśmiechając się.

Stąd Aaron pobiegł do swego domu, niedając się już zatrzymywać po drodze.

Nazajutrz rano po Mszy, wózek księdza wytaczał się z podwórza OO. Bernardynów i śpieszył w stronę domu. Dzień był chmurny, wilgotny i smutny, Proboszcz zamyślony odmawiał pacierze, koń truchtem biegnąc poparSKIWAŁ. Na śród drogi poczęła szkapa nakuLIWAĆ i ledwie dojechawszy do pierwszej ple-

banij, z wielkiem zmartwieniem swoim, zatrzymać się musiał. Napróżno oglądano kopyto biédnej klaczy, nie nie okazywała choroby, zatratowania, stłuczenia, a jednak kulała. Nazajutrz wiedli ją do wody, toż samo, zawsze w nadziei ozdrowienia konia, Proboszcz się zatrzymywał, aż nareszcie straciwszy ją, wziął kij w rękę i poszedł piechotą.

Nie męczyła go droga, bo był przywykły do podobnych pielgrzymek, ale niespokojny i o dziecko i o kościół i o dom, w którym zwykle po jednym dniu niebytności, dziwnie przewrócony porządek zastawał; śpieszył jak mógł nieborak.

Dobrze zmierzchało gdy ujrzał nareszcie stare lipy otaczające smętarz i białe mury kościółka.

— Dzięki Bogu, rzekł w duchu.

Dzwon właśnie odzywał się na pacierze, Proboszcz się przeżegnał i modlić począł. Tak coraz bardziej zbliżał się ku plebanij, mimowolnie zwracały się jego oczy na ten domek

w którym przeżył lat tyle spokojnych i szczęśliwych.

Z biciem serca ludzi przywykłych do swego kąta, otworzył furtkę, zajrzał w dziedziniec, psy poczęły się koło niego łaścić. W ganku postrzegł swoich Klechów i Magdę.

Ona poznawszy Proboszcza, wybiegła przeciw niemu.

— To Dobrodziej! Ale cóż to jest? pieszo.

— Klacz zakulała. Jak się macie? A gdzie mały?

— Mały? powtórzyła kręcąc fartuch w palcach Magda, mały. I zafrasowana nie wiedziała co mówić.

— Mów, mów, co się z nim stało?

— Poszedł rzekła Magda łykając ślinę i jąkając się, poszedł dalej.

— Dokąd? kiedy poszedł? toście go chyba wypędzili?

— My, nie, to on sam poszedł. Dobrowolnie.

— Ale to być nie może? zawołał Proboszcz
szybko zмирzając ku domowi, to być nie
może.

Wszyscy Klechowie i Magda widocznie byli
pomieszani.

WDOWA.

Przejechał się teraz ze stołecy, daleko w głąb kraju, na Podlasie, do Knyszyna, gdzie osiedli z Jagiellów, dokonywa smutne żywota, otożony kobietami, pochlebami, tłumem chciwych i podłych ludzi, bez serca w płaci i wstydu na czole.

Przezajazd wieczorem jesien, ciągnie się do
miasteczka skóra, wybijany rydwan,

Tom II.

10

... ile to było nie może? zawał? Przekonał
szybko zwrócić się ku domowi, nie było to
może.

Wszystko niech będzie: Magia, widzenie, ugi
pomagają.

.AWOCW

belony, zowazd/brankam abramant, za-
 przony, czerem helent kadat. Na przo-
 hie jego siech, yd wemca i stary osiwalu
 czono ubrany, rozkrywa. W mierzniu x-
 tna konic yd, spogladaje na cel podazy:
 miasteczko i xanek.

Stary, przy nim siedzący, mierzyn, pod-
 parł się na rękę i smutnie zadumał nadmierz-
 czywały. Nie śmieły obaczyć się w tył na-
 rydwan, jakby za framakami kopy tam siecz-
 tego chciał dojrzeć, jak pow podpise z ka-
 myll i wzdychał. —

— Jest to dobra gospoda, spytał stary
 kłacz. — Wy, co to jest?

PRZENIEŚMY się teraz ze stolicy, daleko w głąb
 kraju, na Podlasie, do Knyszyna, kędy osta-
 tni z Jagiellów, dokonywa smutnie żywota,
 otoczony kobietami, pochlebami, tłumem chei-
 wych i podłych ludzi, bez serca w piersi i
 wstydu na czole.

Późnym wieczorem jesieni, ciągnie się po
 błocie do miasteczka skórą wybijany rydwan,

osłonięty zewsząd firankami skórzanymi, zaprzężony czterema lichemi końmi. Na przodzie jego siedzi żyd woźnica i stary osiwiały ciemno ubrany mężczyzna. W milczeniu zacina konie żyd, spoglądając na cel podróży: miasteczko i zamek.

Stary przy nim siedzący mężczyzna, podparł się na rękę i smutno zadumał namarszczywszy. Nie kiedy obejrzy się w tył na rydwan, jakby za firankami kogoś tam siedzącego chciał dojrzeć, to znowu podeprze i zamysli i wzdycha.

— A jest tu dobra gospoda? spytał stary żyda.

— U! wa! czy to wy koniecznie chcecie w najlepszej stanąć.

— Czemuż by nie, mój Mortchel?

— Wy nigdy w Knyszynie nie bywali?

— Nie mój kochany.

— To wy nie wiecie, jak to drogo! Kiedy Król JM. mieszka, ciągle do niego panowie wielcy jeżdżą, że często wszystkie do-

my ich końmy, ludźmi i pocztami zajęte, bo na zamku miejsca nie ma. Za kątek dla koni i dla człowieka każą sobie płacić! Jakbyśmy w najlepszej gospodzie stanęli, choćby nawet miejsce znaleźć, nie na długo by nam worka stało.

— A trudnoż Mortchel, naszej pani stanąć nie wiedzieć gdzie?

— Ja to wiem, odpowiedział żyd kiwając głową, jój potrzeba wygody, nu, ale za wygodę każą płacić i dobrze płacić.

— Cóż robić póki jaki grosz mamy!

— Ja bym i swego niepożałował, odpowiedział żyd cicho. Wy wiecie że ja naszą panią kocham jak wy, jak wszyscy jój ludzie, ale taki nie życzę, do wielkiej gospody w rynku zajeżdzać.

— A dokąd że?

— Hm! to się wam będzie zdawało nie do rzeczy, ale posłuchajcie tylko. Ja tu znam krewnego, który ożenił się z siostrzenicą mojej Sory, zajedźmy do niego. Dla naszej pani,

każę wyczyścić izbę osobną, a konie i wóz w stodółce postawim, choć to dom niepozorny, ale będzie wygodnie — a kosztować nie będzie. Tu i tak zdadzą się pieniądze, by ich najwięcej było.

I Mortchel zaciąwszy konie w kałuży, usiłował różnemi głasy, zachęcić je, aby wśród grzęzawicy zmęczone nie stanęły.

— Uważaj Mortchel, jak lepiej, aby tylko pani było wygodnie.

— Z resztą zobaczymy.

W tej chwili pomimo deszczu lejącego o firanki rydwanu, roztwarła się zasłona białą ręką posunięta i ukazała głowa kobięca bladej śmiertelnej, rysów twarzy dziwnie pięknych, oczu zamglonych świeżym płaczem, ale ognistych jeszcze. Kobięta wyglądająca mogła mieć lat trzydzieści kilka, a rysy dowodziły nie dawno i nie zupełnie jeszcze znikłej wielkiej piękności; cierpienie jakieś czy choroba wypiętnowały na niej marszczki, odjęły nie tylko rumieniec, ale nawet wszelkie krwi

ślady. Rzekłbyś że powstała z trumny i otwarła oczy pod całunem. Ręka jej była tak biała jak twarz. Ciemna suknia osłaniała szerokiemi fałdy kibić jej wysmukłą i cienką, ramiona białości marmurowej, kreza stojąca otaczała szyję, głowę wdowi czepiec czarny objął i wychudłą twarz zasłaniał. Nieznajoma spojrzała, przeżegnała się, zadrzała i poczęła modlić. Cichym, miłego dźwięku głosem spytała starego sługi, który się w tej chwili odwrócił.

— To Knyszyn?

— Tak, pani, tak.

I firanka zapuściła się znowu, a żyd z starym sługą szeptać coś poczęli. W powozie słyhać było płacz i łkanie tłumione, przerywane jakby rozmową urywaną.

Nie młoda już i skromnie bardzo ubrana kobieta, rysów twarzy grubych, wyrazistych ale tchnących dobrocią, siedziała w powozie, obok pierwszej. Ona to starała się ją pocieszyć i utulić rzewnymi łzami płaczącą.

— Pani, pani, czyż lzy pomogą, zbliżamy się do celu, może Bóg da, że Król J. M. wymierzy nam sprawiedliwość. Nie ma jeszcze czego rozpaczać!

— A! moja Janowa, czyż utrata dziecięcia, czyż wszystko co przecierpiałam, nie wyciskają łez mimo woli! One same płyną. Mój Staś! Bóg wie gdzie, może go już pochwycili, może —

— Bóg strzeże sieroty. Agata poszła za nim, pan Czuryło.

— Wszystko ja to sobie mówię, a jednak płaczę mimo woli. Kto wie czy Król poznać mnie zechce, czy zechce się ująć za krzywdę.

— Ja nie wątpię.

— Szczęśliwaś moja kochana.

I nieznajoma znowu gorzko płakać zaczęła.

— Zbliżając się do miejsca, w którym ostatnia moja nadzieja, strach za serce ściska. Sama jedna! jak się dostać do niego, jak uprosić, jak mu wytłumaczyć.

— Chyba pani w opiekę Bożą nie wierzysz,

nad dzieckiem i nad sobą? ozwała się Janowa.

— O! gdybym w nią nie ufała, dawnobym umarła!

— Tyle jej pani moja, miałaś dowodów.

— I tyle przeciwności.

— Bóg zsyła krzyże tym których kocha, odpowiedziała Janowa, usiłując jakkolwiek towarzyszkę z płaczu zachodzącą się, utulić. Ale nie nie pomagało, ona płakała a płakała.

Wjechali w miasteczko, którego szerokie ulice ostawionemi lichemi domki, gdzie niegdzie przeciętymi nowszą porządniejszą budową, pełne były błota. Wielka murowana gospoda wznosiła się w pośród Rynku otoczonego domostwy żydowskiemi, kramikami drewnianemi otwierającemi się na zewnątrz klapą podpartą na wbitym w ziemię palu. W tych sklepikach lichych, wyglądały białe zasłony żydówek siedzących na garnkach z żarem i węglami, czarne płaszcze żydów zgarbionych nad książką modlitwy, wiszące w oknach rozmaite

towary, leżące na wystawach naczyń, owoce i t. p. Deszcz lał jak z wiadra miotany silnym wiatrem, drzewa chyliły się resztę liści tracąc porwanych burzą, kilku ludzi z głową przykrytych workami, podkasaną suknią, wywróconym kozuchem, kilka bab w fartuchach zarzuconych na włosy, brodziło zalanemi błotem ścieżkami. Na prawo widać było zameczysko. Nieznajoma spojrzała nań przez franki, i modlić się znów zaczęła. Minęli kościół, minęli Rynek, Mortełel woźnica, kilka razy spotykanych żydów zapytał, i zakreślił w prawą na ciasną uliczkę. Ale tu ciężko było rydwanowi przejechać. Ta część miłośnicy miała jeszcze smutniejszy i biedniejszy pozór. Ściśnięte domki żydowskie i mieszczkańskie, przegrodzone rzadko płotkami, najczęściej przypierające prawie do siebie, stykały się dachami, ścianami; wystawały na ulicę gankami; wysokie żerdzie na których zawieszony był sznur łączący pokrewne domy żydowskie wznosiły się tu i owdzie. Studnie, błotniste

głębokie kałuże, kupy śmieci, gnojów, drew, materiału budowlanego, przerzynały w poprzek czarny ten zaulek. Karoca nie kiedy wpadła po osie w wodę, grzęzła w błocie rzadkim, to znów krajała miękką i rozlazłą od deszczu ziemię, to wznosiła się na nasypy słomy i gnojów, z których nagle spuszczała w rowczaki wiodące ścieki miejskie do foss zamkowych.

Trzeba było i powolności żydowskich koni i uwagi połączonej żyda i starego sługi aby bez wyrotu lub zagrzejenia przebyć ten piekielny kawałek drogi.

Zatrzymał się żyd u wrot, nieco większego domu, któren z wywieszonych skór do koła i zapachu właściwego, garbarnią się wydawał. Stał on nad wodą, z jednej strony na ziemi, z drugiej na gęsto nabitych palach oparty; miał wjazdowe wrota, ganek z galeryjką niezgrabną, kilka okienek w części pęcherzami i szkłem zaciągnionych. Czerwono malowane okienice z wyciętymi sercami, wisiały od wia-

tru dygoeząc na drewnianych z gruba wyrobionych zawiasach.

Widząc zatrzymujący się powóz u drzwi swoich, garbarz z zakasanemi po łokieć rękami, zawałanemi farbą rękoma, w kaftanie tylko i jarmułce na głowie, wyszedł na ganek. Mortchel ujrzawszy go zlął, podał rękę, wszedł do izby, całując palce dotknięte do umieszczonego na uszaku hebrajskiego napisu i począł coś mówić z gospodarzem. Stary sługa tymczasem smutnie podparłszy się został na kozłach, z cierpliwością bezprzykładną znosząc bijący deszcz w same oczy.

— A co Paleju?

— A co pani, stojemy, czekamy, żyd poszedł szukać gospody dla nas.

Odpowiedział stary na zapytanie z wnętrza powozu wychodzące.

Widać było gospodarza żywo rozmawiającego z woźnicą czas jakiś, przekonywającego jak by o czémś, potem wychodzącego na ganek, i wracającego znowu, koniec końcém za-

częto wymiatać i uprzętać pierwszą izbę, wynosić żydowskie pierzyny do alkierza, żydówki uwijały się, kręciły, a Mortchel podnosząc zasłonę i zdejmując czapkę przystąpił do rydwanu.

— Jasna pani, może wysiąść, ugodziłem gospodę, nie będzie bardzo wygodnie, ale żyd nie dokończył i poskrobał się.

— Wszędzie mi będzie dobrze, odpowiedziała nieznajoma.

Trzymaj konie a ja panią wysadzę, przerwał stary, bo po blocku tém nie przejdzie.

I Palej żywo mimo wieku, z siedzenia swego skoczywszy, podbiegł ku wysiadającej, wziął ją jak dziecko na ręce i schylając się uważnie, wniósł do izby, za niemi starsza niewiasta powlokła się powoli.

Izba do której weszli, smutną, nagą brudną i nagą miała prawo wydawać się przybyłym, a jednak wszyscy już trochę z biedą i podróżą oswojeni, znaleźli ją wygodną; chociaż kury co chwila wbiegały dowiadywać się

z alkierza, choć podłoga czarna była od błota, pułap niski i zasmolony, ściany wylepione gliną, piec garbowaty i okopcony, ławy niskie i chwiejące, chociaż wiatr chodził od okna do okna wahając pajęczynami, poosnówanemi po kątach.

Na gołym tapczanie usiadła przybyła i pozostała nieruchoma, zamyślona, gdy słudzy krzątali się tym czasem znosząc tłumoki, robiąc posłanie, zatykając dziury i starając się jako tako izbę uprzątnąć.

— Spytajcie o Króla, rzekła nareszcie nieznojoma.

Stary sługa którego zwano Palejem, niegdys kozak, jak to po części z wąsów zawiesistych, po części z fantazy poznać było można, zafrasował się, poskrobał w głowę i odpowiedział cicho.

— Już ja się pytałem.

— Król jest?

— Jeszcze w Lublinie, mruknął Palej.

Młoda kobieta spójrzała na niego i opuściła ręce.

— Ale prędko przyjedzie, dodał, spodziewają się co chwila. Już słysze koniuszy odebrał wiadomość i wozy idą.

A tym czasem spoczniemy przerwała kobieta, pani potrzebujesz spoczynku.

— Spokojuści, nie spoczynku — Janowa, zawołała kobieta, a póki nie będę miała pewności, póki król nie wyrzeczy między mną, a nieprzyjacielem, póty wszelka myśl spoczynku dla mnie daremna.

W téj chwili ubrany w czarny żupan, podpasany pasem jedwabnym, gospodarz domu podnosząc nieco jarmułkę wszedł do izby.

— Prawda to, że się Króla JM. spodziewają? spytała żywo przybyła.

— Lada dzień, rzekł gładząc brodę żyd, już pan Koniuszy miał posłańca. Pan Bisławski Starosta nasz czeka na Najjaśniejszego Pana, wozy idą; już Kniaźnik przyjechał.

On dziś albo jutro pewnie będzie.

— Kto to Książnik?

— Jasna pani nie wie? z podziwieniem spytał żyd. Nu! to wielka figura, choć mały człowieczek, przez niego można wszystko zrobić. On, pan podkomorzy i krajezy, a Egid, to co chcą to robią. Książnik to pokojowiec królewski, a teraz jemu i Senatorowie kłaniają się, a on im, nie jeden raz drzwi przed nosem zamyka.

I żyd z niejaką wzgardą i oburzeniem poruszył ramionami.



Pomimo błot i deszczu; wszysko co było
w miasteczku, leciało do okien, zaczerniało
w gankach, wyłozczyło się w uliczki. Dłogi
sznur krytych skórami wozów, koni powo-
dnych, rydwanów jezdnych sunął się do zam-
ku; na którego dziedzińcu, moście zwodzonym,
podwórzach, w komnatach, panował ruch nie-
zwykły. Po komnatach rozpalano ognie na

<http://rcin.org.pl>

VI.

POMIMO błota i deszczu; wszystko co żyło w miasteczku, leciało do okien, zaczerniało w gankach, wytoczyło się w uliczki. Długi sznur krytych skórąmi wozów, koni powo- dnych, rydwanów jezdnych sunął się do zam- ku; na którego dziedzińcu, moście zwodzonym, podwórzach, w komnatach, panował ruch nie zwykły. Po kominach rozpalano ogień na

prędce, wymiatano podłogi, wykadzano izby smółką i wymyślniejszemi kadzidłą. Czeladź zamkowa i przybywająca zajęta była uprzątnieniem, biegała, wołała i potraçała się znośząc paki, rozwijając tłomoki, wprowadzając przyjeżdżających.

Z królem Zygmuntem Augustem jechali do Knyszyna, z panów Senatorów Franciszek Krasieński Biskup Krakowski, Mikołaj Krzysztof Radziwiłł Marszałek W. Litewski, Stanisław Sędziwój Czarnkowski Referendarz Koronny. Każdy z nich wiódł przyzwoity stanowi swemu i dostojenstwu dwór, a połączone poczty Biskupa, Marszałka, Referendarski, panów Mikołaja i Jerzego M..... Podkomorzego i Krajczego, nareszcie Królewski dwór napępniały tak dziedziniec, że się w nim obrócić i precisnąć przezeń trudno było.

Króla właśnie dworzanie jego Mikorski i Wilkowskii z karocy wzięwszy na ręce do komnat byli wnieśli i posadzili w wielkiem złoconą skórą wybijaném krześle, stojącym przed ogniem.

Izba w której spoczywał August, wybita była materją czerwoną w kwiaty złociste wyciskane, w ramach drewnianych brunatnych. Sufit jój z belek ciemnych złożony, ozdabiała między niemi w kwadratach umieszczone gwiazdy złociste. Podłoga kamienna, pokryta była suknem zieloném. Jedne drzwi wiodły do wielkiej sali, drugie do sypialni, w środkowej ścianie wysoki komin z szarego kamienia, z zegarem i zwierciadłem, płonął rozpalonym ogniem; kilka krzesel bez poręczy, siedzenie dywanem perskim kryte, stolik lakierowany, na którym leżała czapka z futrem i kij okowany z złotą gałką, składały cały sprzęt tój komnaty. Okna jój w pół zasłonięte firankami z materyi podobnej obiciu, wychodziły na stronę miasteczka.

Ostatni z Jagiełłów, wyciągniony w krzesło przed kominem, spoczywał. Znużony drogą zdawał się w pół uspiiony, oczy miał przemknięte, ręce zwieszzone, wysunione nogi, ciało z osłabienia wygięte, piersi wklęsłe. August

miał na sobie długą suknię czarną, na wierzch
 jej narzucone lekkie futerko sobolowe, na głó-
 wie mykę fioletową zakrywającą uszy, na ręk-
 ach rękawice żółte. Wychudłe ciało jego, fał-
 dująca się i opadająca suknia jakby na kościach
 zawieszona, okrywała długie ręce, guzowate
 kolana sterczały i łamały futro, ramiona widne
 były przez kołnierz futrzany którego się na
 nich powyginał. Grubo poobwijane nogi od
 kolan począwszy do stopy, jedwabną czarną
 materją pokryte, spoczywały na poduszce
 z złocistą wytartą frendzlą. Przez rękawicz-
 ki żółte widać było kości palców wychudłych
 i kilka pierścieni.

Twarz spoczywającego blada, zielonawej
 cery, nieco na policzkach samych jaskrawe-
 mi wypieczonemi rumieńcami ożywiona, z si-
 nemi usty, długa była, koścista, martwa. Nos
 pociągły spuszczał się ku wardze dolnej od-
 stawionej, oczy głęboko wnurzone w kość
 otaczającą, pomarszczona obejmowała powie-
 ka. Rzadki ciemny włos wymykał się na

skroń z pod mycki, broda rzadka także rozdwojona czarna, spływała na piersi, wąs długi i gęsty sprzecznością swój barwy, czynił zdali twarz bladejszą jeszcze.

Król zostawał w tym stanie dziwnym pół snu, pół jawy, w którym marzenie jak mgła przechodzi po rzeczywistości i miesza się z nią niepojęcie, swemi barwy kraszając ją, samo ciemniejąc od niej. Czarne ale dawno zagasłe oczy otwierały się czasem na w pół i powolnie przymykały znowu, usta zadrgały czasem i roztwarły, ręce poruszyły, i ścisnęły; pierś poruszała się często, ciężko, jakby uciśniona, a niekiedy wyparło się z niej westchnienie głębokie.

W całej postawie Króla widać było znużenie, wycieńczenie, brak siły, jakieś moralne opadnięcie i niemą prawie rozpacz. Chwilowo otwierające się oczy były prawie osłupiałe.

Niedaleko Króla w kącie, na niskim stołeczku, z opartą o mur głową, założonemi rę-

koma, podkurczonemi nogi, drzémał chłopak lat około dwudziestu, bladój twarzy, jasnego włosa rozpuszczonego po skroniach, z sinemi znaki pod oczyma i zeschłemi usty. Siwe jego oczy raz wraz miały otwierając się wejrzeniem na Króla, nos miał zadarty nieco, usta szerokie i grube.

Smiały, bezwstydnym, zepsuty wcześniej, wi- dać było że ten człowiek nie lękał się pana, który bez władzy i znużony leżał o kilka kro- ków od niego.

Kniaźnik, (to było imię pokojowca) przybie- rał najwygodniejszą do snu postawę nie tro- sząc się wiele o Króla, niekiedy szeroko zie- wnął, pociągnął się, strząśł i spojrzawszy przelotnie znów drzémał. Na nim była krót- ka sukienka ciemna, pasek skórzany z kłamrą srebrną, łańcuch cienki srebrny na szyi, poń- czochy czarne, trzewiki także z wstęgami zie- lonego koloru.

August odpoczywał, marzył, a marzenie jego i spoczynek przerywały drgania zdra-

dzające boleść ciała czy duszy, doskwierająca chwilami.

Smutno było w tej komnacie, i dochodząca tylko wrzawa z dziedzińca przerywała ciszę, którą syczenie ognia w kominie i chód zegaru ledwie ożywiały ją nieco.

W sali przytykającej do komnaty, a w pół zapuszczonego okna, stały dwie osoby, mężczyzna i kobieta.

Mężczyzna słusznego wzrostu, czarnego wąsa, z cudzoziemska ubrany i fizionomi obcej, w płaszczyku aksamitnym, z szpadą u boku, łańcuchem z portretem króla na szyi; trzymał on kapelusz z piórami czarnymi w ręku, a drugą poprawiał pukle ciemnych włosów i wymuskany wąsik. Czarne oczy, wysokie wypukłe czoło, ciemne łukiem zgięte brwi, żółtawej barwy cera młodego człowieka, dziwnie odbijały od biało-rumiannęj twarzyczki pełnej świeżości, życia i wesela kobiety.

Widać było z jej ubrania że świeżo także przybyła, bo suknia na niej połamana i wło-

sami futra zdjętego tylko co pokryta, kriza biała pomięta, rękawiczki na drobnych ręku, półbuciki na nogach, czółko nad gładkiem wypogodzonym czołem, jeszcze zasłoną białą narzucone. Dziwniej regularności rysy kobiety, ożywione podróżą rumienia się napływającą krwią, która krasi policzki, nozdrza nieco otwarte i usta koralowe.

Postać jej i twarz pełne są wdzięku, oko malarza lubowało by w tych kształtach malowniczych, zaokrąglonych; nieco tylko może zbyt ciałem okrytych. Owal twarzy, oprawa oczów, kształt nosa, wygięcie ust, zachwyciły by snycerza; ale w zachwycającej piękności fizionomij, gdy tylko z niej zejdzie uśmiech będący na zawołanie, gdy się brwi skupią, gdy gwałtowniejsze uczucie poruszy mięskami wszystkimi, czytasz coś fałszywego, coś odpychającego.

W jednej chwili pociąga cię uśmiechem i wejrzeniem i przejmuje cię strachem i niepe-

wnością, gdy na nią z boku spojrzysz, a ona się twego badania nie spodziewa.

Mężczyzna to Podkomorzy koronny, kobieta — to Barbara Giżanka, królewska kochanka, matka dziecięcia Augustowego i niegdy Mikołaja Mniszech ulubiona, potem przywiedziona do łoża ostatniego z Jagiellów, przez chciwych łupieży dworaków.

Ale nie!ta to już anielskiej piękności dziewczyna, którą Mniszech w klasztorze zamkniętą dla ukrycia oczom młodzieży, pod suknią kobięcą i imieniem siostry Opackiej odwiedzał, którą uwiódł i uwiedzioną frymarczył płacąc łaską królewską za swój występki; nie ta to już Giżanka, na której przyjście stawali ludzie dziwić się wdzięcznej twarzyczce, niewinnemu uśmiechowi, której zda się na anioła—tylko skrzydeł brakło. Dziś ona i starsza i zmieniona bardzo, kibić wysmukła, pogrubiła, twarzy owal nieco się zokrąglił, puszek go okrywa od dołu nieznaczny, rumieniec żywszy, ale białość ciemniejsza. Dziś ona gasi inne

kobięty, ale ją by zgasiła piętnastoletnia Basia Giżanka, wyglądająca kraciastém oknem klasztoru, na przybycie Mniszech.

Pewna siebie, śmiała, żywa, Barbara nie spuszcza już oczów jak dawniej, gdy utrapione poczynając życie, płoniła się na każde wejście, krwią zalewała na szepty tajemne dworaków, teraz ona nie lęka się ni wejrzeń, ni obmowy, serce jęj nie bije, dłoń chłodna wyciąga się po klucze od królewskiego skarbcu, po klejnoty, po zapisy; ona chce pieniędzy, złota i złota, aby ozłocić swą hańbę, a oto niedaleko w cieniu książęca mitra czeka na jęj skronie zwiędłe i pokryje całą przeszłość. I miłostki klasztorne i powolność dla Augusta i więcej może jeszcze—coś jeszcze.

Oni rozmawiają z sobą.

— Na Boga, panie Podkomorzy, woła ścisłkając go za rękę Giżanka, chwile drogie, korzystać z nich potrzeba, nie mamy czego czekać.

— Zapewne Basiu, zapewne w pół oboję-

tnie odparł Podkomorzy, ale nie widzę czego byś więcej pragnąć mogła.

— Jakto? żywo i coraz zapalając się podchwyciła kobieta. Więc macie mnie za nagrodzoną już? O! dziękuję wam, za wspaniałość! Ale choć się to wam tak zdaje, może Królowi JM. zdawać się inaczej.

I odstąpiła na krok rozgniewana nieco.

— Cicho! cicho! Zawsześ w ukropie kapana. Mało ci! bierz co dają, niech dają, ja ci na drodze nie stoję, nie wrywam z ręki, ale pomnij potem, aby inni —

— Któż mi to może odebrać, co mam z łaski Króla JMości?

— Kto? kto wie?

I spuścił oczy w ziemię.

— Ale któż przecie?

— Senatorowie szemrzą!

— Niech szemrzą! z Bogiem, zapłacę ich kiedy będzie potrzeba. Ja mam przyjaciół, wy także, wy musicie mnie bronić, bo moja sprawa

wa waszą, panie Mikołaju. Ale do tego daleko, a teraz pora nagrody.

Mniszech się uśmiechnął nieznacznie. —

— Moja Basiu, rzekł, już najlepiej wiem, że ci Król JM. dość już zapłacił! kobieta zaczerwieniła się cała, zapłonęła i z ściśniętymi ustami posunęła się ku Podkomorzemu.

— Zaprawdę dosyć! Za to żem młoda, żem poczciwa wstyd i młodość u łoża schorzałego, obrzydłego starca zagrzebała, za nocy obrzydliwości pełne, za dni nudy śmiertelnej, za spodlenie, za sromotę.

— Ale powiedz mi czegoż więcej żądać możesz, Król cię usłacheił?

— Co mi tam usłachcenie! rzekła kobieta rzucając ręką dumnie, ja się usłachcę sama, mnie trzeba złota, złota!

— Wzięłaś go dosyć także, gdybym liczył Basiu, trzydzieści, czterdzieści tysięcy czerwonych złotych, może więcej.

— Gdybym dwa razy tyle, cóż to za moje ofiary, panie Podkomorzy. Wolalabym ubó-

stwo pocziwe, o! wolałabym dziś jeszcze, ale gdym przez was zesromocona.

— Cicho Basiu, na wszystko, cicho! niespokojnie zawołał mężczyzna, gubisz mnie.

— Gdym zesromocona, kończyła kobieta, muszę w purpurę i złoto ubrać moją hańbę, okryć ją zewsząd złotem.

— A któż ci broni? niespokojnie przerwał oglądając się Mniszech.

— O! ja wiem że wam to nie na rękę śmiejąc się mówiła zniżając głos Gizanka, wybyście chcieli sami tylko z Króla korzystać, sami się zбогаć.

— Ja! Cicho kobieto! I usta mu zadrzały, a oko zapaliło się gniewem.

— Tak wy! myślicie że nie nie wiem? A ceduły Królewskie do kupców Lwowskich wam dane? a skrzynie z Lubelskiego zamku uwiezione? a powierzone wam klejnoty?

Mniszech tak silnie porwał za rękę Barbarę Gizankę, że mało nie krzyknęła.

— Słuchaj, rzekł ponuro, milcz! milcz jak

grób lub źle będzie z tobą. Com zrobił, to odrobić potrafię.

— Ja mam dziecię! zawołała dumnie kobieta, Królewskie dziecko!

— Królewskie, szydersko odparł Mniszech, czemu nie książęce?

Z kolei Giżanka pobladła.

— Mogę tego dowieść, mówił Podkomorzy koronny, jesteście ze wszech miar w moich ręku, a chcecie pokoju i zgody, nierozpoczynajcie wojny!

— Dla czegoż chcecie mnie od Króla i łask jego odsunąć? on konający, lekarze i baby życia mu roku nie dają, dla czego niepozwalacie mi korzystać z ostatku?

— Korzystaj sobie jak chcesz! rzekł Mniszech, ja ci nie przeszkadzam, ale pomagać też nie myślę.

— Będiesz mi pomagać!

— Nie.

— Chcesz więc, abym przed światem po-

wiedziała wszystko? wszystko! Słyszysz panie Podkomorzy, wszystko.

Mniszech stał niemy, blady, gniewny, ale się widocznie miarkował.

— Mów że czego chcesz?

— Zbliżyć się do Króla, potem przybyła, całą drogę odpychacie mnie od niego.

— Niech cię Książnik do niego prowadzi, rzekł ze wzgardą Mniszech, on to jest Królewskim seraju dozorcą.

Gizanka czerwieniła się i rwała chustkę w rękę.

— Panie Mikołaju, pomnijcie na przeszłość, nie przyprowadzajcie mnie do rozpacz!

— Nie rozumiem cię.

— Więc zrozumiecie mnie później.

To mówiąc odwróciła się szybko Gizanka i rzuciwszy wejrzenie w którym się gniew i chęć zemsty malowały, odeszła wewnątrz zamku.

Drzwi się ledwie za nią przemknęły, gdy podobny nieco z rysów, ale widocznie młodszy

od Podkomorzego, wsunął się mężczyzna. Tych samych prawie rysów twarzy, niemal tegoż charakteru, różnił się chłodem, którym tchnął cały. Nie było śladu uczucia w tej wymierzonej postawie, wejrzeniu, minie, w zimnym i pogardliwym z góry zapatrywaniu się na to co go otaczało.

— Coś zrobił temu szatanowi Gizance, spytał pan Jerzy; krajezy koronny, brata — spotkałem ją, jakby się z piekła wyrwała, całą w płomieniach i gniewie, nie raczyła mi nawet odpowiedzieć, tylko rzuciła okiem i poszła.

— Ja! nie! odrzekł Mikołaj, cała rzecz że mi się widzi jakoby już powinna mieć dosyć, a jęj się zdaje że zawsze mało zapłacona, za swoje *usługi*. Ten wyraz wymówił z szczególnym przyciskiem. Chce się jęj na nowo zacząć ssać królewskie skrzynie.

— Daj że jęj pokój bracie, kruk krukowi oka kluc nie powinien.

— Panie Jerzy! zawołał Mikołaj gniewnie.

— Czegoż się pyrzysz? rzekł chłodno kraj-

czy. Kto źle robi, powinien się z nim tak oswoić, żeby go wyrzuty nie obchodziły. Ssała Gizanka, ssałeś i ty panie bracie po polowie z nią. Dajcież sobie wzajemnie pokój: bo *discordia res magnus dilabuntur*.

I uśmiechnął się wzgardliwie.

— Zresztą, rzekł siadając, do mnie to nie należy starszego strofować, róbcie sobie co chcecie!

I pociągnął ręką po czole. P. Mikołaj przechadzał się po sali zachmurzony. Wyjrzał oknem.

— A! I Szawłowski tu? rzekł z gniewem.

— Któż to ten Szawłowski?

— Hm! szwagier Gizanki, zawołał Podkomorzy, pewnie myśli coś wywozić z zamku, gdy go tu z sobą sprowadziła, ale zobaczymy.

— Podzielicie się po stariej znajomości i będzie cicho, szepnął Jerzy.

— Na te słowa wszedł zaufany Mniszechów sługa Jaszewski i stanął we drzwiach, dając znaki panu Podkomorzemu, że mu coś chce

powiedzieć. Był to chudy, szpakowaciejący, chrytrój fiziognomij ślacheic, na którego policzku zospowaconym, blizn się różnego pochodzenia krzyżowało mnóstwo. Szara kapota na nim, szabelka kusa, pas skórzany.

— A co? spytał Podkomorzy cicho.

— Szawłowski tu jest.

— Widziałem go. Pilnuj mi Giżanki każdego kroku, każdego skinienia, gdzie pójdzie, z kim mówić będzie, co czynić? Nie dozwalaj o ile możności wychodzić z mieszkania.

— Dobrze panie, nic więcej?

— Tyle na teraz, idź!

Jaszewski szasnął nogą i wyskoczył szybko.

Na drugim końcu zamku, całe odmienne odgrywały się sceny i tam ze smutkiem na twarzach usiedli w zimnej izbie, ksiądz Biskup Krakowski, Sędziwój Czarnkowski i świeżo przybyły Tarnowski młody.

Głębokie milczenie panowało, czas jakiś przerywane tylko westchnieniem, lub nie cierpliwym poruszeniem Referendarza koronnego.

— Po co my się tu wleczem za dworem, zawołał w reszcie rozgniewany widocznie Biskup, aby być świadkami tego nieszczęścia, tego spodlenia pana naszego, téj ruiny skarbu, tegoż panowania faworytów i nierządnic!

— Pojmuję, rzekł Czarnkowski, i podzielam oburzenie wasze, ale myśmy ich żołnierze na posterunku, czy zrobią co czy nie niedokazą, stać muszą.

— Muszą! powtórzył Biskup poprawiając nie cierpliwie piuski i przebierając w palcach łańcuch złoty na szyi wiszący. Ale to ohyda.

— To nieszczęście, odparł Referendarz smutnie. Nieszczęście zdaleka się przygotowało, królowa matka niech jój Bóg da —

— Sprawiedliwość, przerwał Biskup żywo.

— Tak, nic więcej, mówił dalej Czarnkowski, wychowała go na niewieściucha, dwie żony wydarła mu sama, sama wprawiała do rozpusty, pełnęła w nią: bo myślała że panować będzie, gdy August w uściskach nałożnicie usnie.

— Panowała téż czas jakiś.

— Skorupa się za młodu napiła, może być inaczej? Za resztę może Bogu kardynał odpowie.

— O! gdyby nie Commendoni i Augusta życie inne i losy naszej ziemi odmienne by może były, dodał Biskup z westchnieniem.

— To nieszczęsne ożenienie trzecie, zatruło mu życie, kończył Referendarz, ze łzami błagał, aby je rozerwano. Nigdy nie zapomnę słów jego, gdy wstręt dla nieboszczki z powodu choroby którą cierpiała, wstręt niepotamowany powziąwszy, składając ręce, z płaczem, mówił do Commendoniego.

„Wolałbym umrzeć niż żyć z tą kobietą, któż z prywatnych ludzi, w stadle małżeńskim tak jest nieszczęśliwym jak ja? Nie mam żony, przecież czuję się skrepowany więzami małżeństwa. Prócz mnie nie pozostaje jednej latorośli szczepu królewskiego, w sile wieku i zdrowia, widzę nieszczęsny, przeciętą wszelką potomstwa nadzieję; co jedyną było i domu

i życia pociechą, jedyną Rzeczypospolitąj podporą; ten ród Jagiełłów na zawsze przecina się i gaśnie ze mną, i w tej tak ciężkiej niedoli, ni sposobu, ni końca nie widzę. Z żoną, beżzenny, mąż, bez żony, dziwowiskiem małżeństwa na wszystkie wieki w oczach świata zostaną: —“ (*)

Commendoni ni tém, ni łzami, ni obcych dowodami nie dał się poruszyć, stał on przy nierozwiązaniu małżeństwa, przy świętości związku.

— Jako duchowny miał słuszość, rzekł Biskup, ale nie zawsze jedno prawo służyć może dla wszystkich.

— Tak, bo król straciwszy nadzieję nowego małżeństwa i potomstwa, z rozpaczey równie jak nawyknięcia, rzucił się w objęcia tych poczwar, które teraz z niego życie i spokój wysysają. Zdrowie utracił, skarbiec zmarnował, spraw publicznych zaniedbał.

— I jeden pokojowiec! jeden! tu głos Bis-

(*) Historyczne wszystko.

kupa stłumiło oburzenie, zamyka nam drzwi, niedopuszczając Senatorów, szydząc z nich.

— Król nie wie co się z nim dzieje, rzekł Referendarz, życie mu ucieka, boi się o nie, otoczył babami, w których czarnoksiężkie leki więcej wierzy niż w naukę Fogelfedera, ostatek sił szafuje na kobiety; kona znękany, bez myśli, bez zastanowienia.

— On się zabija, dodał Biskup.

— Dobrowolnie. To nie innego jak rozpacz! Wyznajmy panie, w prywatném życiu nie było nieszczęśliwszego człowieka! Piękna i łagodna Elżbieta, którą kochał tak, wydarta mu po kilku miesiącach pożycia. Co wycierpiał za Barbarę, a jak krótko się nią cieszył? Z trzecią żyć mu kazano, gdy zbliżyć się do niej nie mógł. Litujcie się nad nim.

— Lecz gdzie mężka wytrwałość? gdzie.

Tu wszedł Medyk królewski Fogelfeder, blade, pomieszany i nisko się skłoniwszy Biskupowi, rzekł z cicha.

— My tu, a i czarownice za nami!

— Co? zawołał Biskup bledniejąc.

— Są już tu, kiwając głową zawołał z oburzeniem niemiec, którego blada zawsze twarz i niebieskie ogromne oczy, teraz jeszcze bardziej pobladły i zmieniły się dziwacznie. To mówiąc miał kawałek papieru w ręku, a drugą szarpał na sobie nieznacznie czarne odzienie. Widać było i niepokój i gniew tłumiony w jego przeciągniętej twarzy.

— Kto je przywiódł? spytał Biskup.

— Za wyraźnym rozkazaniem J. K. Mości sprowadzona z Wilna jedna, druga nie wiem skąd, trzecia już tu dawno pono czekała na nas.

— Kto z niemi przyjechał?

— Z Wilna Budzikowę, dworzanin królewski przywiózł.

— Cóż z nią myśłą czynić?

— Wszak nie na co tylko dla leków ją przywiezli, rzekł w rozpacz Fogelfeder, ja za życie królewskie odpowiadam, ja się nazywam lekarzem, a te baby, one mu goto-

we dać ziele jakie, one gotowe nie czystą mocą odpędzać chorobę.

— To są czarownice, rzekł Referendarz, ja słyszałem o nich, ale niemożna dopuścić, aby one co z Królem J. M. czyniły.

— A! zlitujcie się, nie dopuście, przerwał załamując ręce Fogelfeder.

— Chodźmy, rzekł Biskup.

— Chodźmy, dodał Referendarz.

— Posłać po pana Marszałka Litewskiego, pojedziemy wszyscy razem, upadniem mu do nóg, będziemy błagać go.

I żywo ruszyli się do drzwi, gdy te otwarły się z trzaskiem i wszedł Mikołaj Radziwiłł.

— Dokąd? spytał widząc zabierających się do wyjścia.

— Do Króla.

— Pięć razy byłem i niedopuszczono mnie do niego, rzekł z gniewem Marszałek. Ci faworycy, stoją jak psy u drzwi i szczekają, myślą że im kto z pyska kości weźmie, które gryzą.

— Ale to być nie może, aby nas niedopuszczono, zawołał Biskup, tu idzie o życie Królewskie! Czarownice są w zamku, które go leczyć mają, my na to dozwolić nie możemy. Ta hałastrą sprowadza z końca świata oszustów i niegodziwe niewiasty, aby niemi wyciągnąć grosz z szkatuły królewskiej i podzielić go między siebie. To zgroza.

Chodźmy, rzekł Radziwiłł, ale z góry powiadam WMOściom, że nas niedopuszczą. Dla nas Król albo śpi zawsze, albo chory.

Przeszli dziedziniec i skierowali się ku komnatom królewskim, Fogelfeder który z początku szedł za niemi, przyzostał potem i do izdebki swój zasmucony odszedł. Senatorowie bez przeszkody dostali się do sali, ale skoro ukazali się tutaj; Mikołaj Mniszech zaszedł im drogę.

Pomimo grzecznego ukłonu i uśmiechu jakim powitał przybywających, widać było jakiś blask szyderski w jego oku.

— Do Króla JMości przychodzim, rzekł Biskup.

— Pośle spytać, odpowiedział Mniszech, Najjaśniejszy Pan znużony drogą spoczywa i oznajmił aby dziś nikogo doń nieprzypuszczano.

— Sprawa pilna, dodał Radziwiłł ponuro.

— Pośle spytać, powtórzył Podkomorzy. To mówiąc puknął we drzwi komnaty lekko i nastawił ucha.

Wyszedł Książnik, spojrzał zuchwale po przybyłych i gburowato odezwał się.

— Nie można.

— Śpi? rzekł mrugając oczyma Mniszech.

— Nie śpi, ale nie można, odrzekł słuzalec.

— Dla czego? odezwał się Referendarz.

— Dla czego? bo niemożna!

Wszyscy poczerwienieli, Książnik ani się zastanowił, ani uląkł, powiódł po nich oczyma tylko i ziewnął.

— Ale my musim zaraz widzieć się z Królem JMością!

— To być nie może, odpowiedział Mniszech.

— Ale cóż się z Królem dzieje? czy wam tylko o wszelkiej godzinie do niego wolno? z oburzeniem rzekł Biskup.

Podkomorzy w pół uśmiechnięty ruszył ramiionami, podszedł do drzwi, otworzył je ostrożnie, zdawało się jakby coś mówił po cichu i zaraz powrócił.

— Król Jegomość przyjąć nie może.

— Ale na Boga dla czego? mówiliście że sprawa nagła?

— Mówiłem, Król JM. odpowiedział, poczeka do jutra.

Biskup żywo się odwrócił oczyma mówiąc do towarzyszy.

— Chodźmy, to próżno.

I wyszli, Mniszech śmiał się do rozpuku siadając na krzesło.

W dziedzińcu spotkali Fogelfedera.

— A cóż? spytał niemiec trwożliwie, a cóż?

— To co zawsze, rzekł Referendarz, odprawiono nas z kwitkiem.

— Na Boga, ale do jutra czasu nie będzie, te kobiety! te kobiety! one Króla oczarują, one go struć mogą!

I w rozpachy ręce łamał.

Mniszech który z okna sali widział wszystko, coraz weseliej śmiał się i z gniewu Senatorów i z rozpachy Lekarza, której powodu się domyślał.

Zmięrzchało. W komnacie królewskiej dwie świece woskowe stały na kominie, August dawno się był przebudził, ale siedział w tém samym położeniu, z wyciągnionymi nogami, na których ból ciągle się uskarżał. Niekiedy westchnienie z piersi mu się wyrывało, niekiedy zadrzemał, to znów jakby umyślnie budził się i wołał Kniaźnika.

— Kniaźnik!

— Jestem N. Panie!

— Zawołaj podczasego Jakóba.

Kniaźnik zawrócił się, jakby iść chciał i wstrzymał chwilę.

— Po co? spytał.

I zbliżywszy się do ucha Króla szepnął mu.

— Jest Anna z Witowa?

— Jest? to dobrze! odpowiedział Król, ale zawołaj mi Jakóba.

— Na cóż W. Królewskiej Mości Jakóba?

— Zawołaj mi Jakóba, powtórzył Król podnosząc oczy.

Kniaźnik z widoczném ociąganiem się wyszedł nareszcie po podczasego. Król znowu drzemać począł.

Chwila tak upłynęła, gdy chód blisko dał się słyszeć, podniosła zasłona sypialni, wcisnął po cichu Kniaźnik, a za nim człeczek małego wzrostu, rudy, krótko ostrzyżony, krępy, barczysty, z oczyma żółtymi prawie i zarosłą brodą.

Król posłyszawszy idących, odwrócił się nieco i z ciężkością podniósł.

— Jest Korycka? spytał.

— Dzisiaj przyjechała.

— Niech wszystko będzie gotowe, po wieczery będę u niej. Zaprowadźcie ją do siebie a wypytajcie wprzód, co mi za radę dać może, na moje nogi. O! bolał mnie straszliwie. I biedny król jęknął łapiąc się za kolan.

— A pamiętajcie o niej! lepiej szatana nie gniewać, jak przeszłą razą się groziła że mi słabość naśle, gdy jej sukna nie dali.

To rzekłszy Król opadł wysiłony na krzesło i oczy zmrużył, Książnik dał znak Jakóbowi, aby odszedł.

Przejdźmy teraz z nim razem, do jednej z dolnych izb zamkowych, w których czeladź i dwornie królewskie, panów Senatorów i sług Augustowych, zasiadły za stołami, podzieliły się w kupki, z cicha rozmawiając między sobą.

Izba ta długa, sklepiona, oświetlona ogniem wielkiego komina i kilką świecami po stołach w mosiężnych świecznikach roztawionych, wystawiała obraz dziwnej rozmaitości. Stroje

sług krajowe i zagraniczne, barwy różnej, twarze polskie i cudzoziemskie, mieszały się tu z sobą. Polacy, Litwa, Węgrowie, Tatarzy, Kozacy, Rusowie, Francuzi, Niemcy pospołu tu gwarzyli. Jedni grali w kości, drudzy rozprawiali cicho, inni zajadali w kącie, inni drzémali na ławach. Stary dziad lirnik u proga piszczał na niestrojnym instrumencie, towarzysząc sobie niemniej fałszywym głosem. Nie wiem skąd przybyły Cygan, odarty, ogorzały, osmolony, skakał grając na drumli, żyd zabierał się brząkać na cynbalach. Dodawszy do tego gwar, śmiechy i krzyki, można mieć wyobrażenie szumu jaki panował w czeladnej.

Na ustroniu dwóch starych już ludzi, rozmawiali z sobą. Jeden z nich był to kozak Paléj, przybyły tegoż dnia z nieznaną kobietą do Knyszyna, drugi sługa P. Mikołaja Radziwiłła Iłło Litwin. Oba starecy byli smutni, poglądali na ten gwar i ruch otaczający, z wyrazem jakiegoś politowania.

— Być że to może, mówił Palój, Król tak bardzo ma się źle?

— Najgorzej, bo lekarzy nie słucha, a w czarzy wierzy, coraz to mu inną babę sprowadzą, a co jedna podleczy, to druga zaszkodzi mu; zresztą choćby i pozdrowiał kiedy wysną z niego zdrowie baby drugie, co za pieniądze starca kochają.

— Któż? to ta Giżanka zapewne, spytał Palój, bo to o niej szeroko gadają, jakoby ją Król udarował i uślachcił.

Czy to jedna Giżanka, zawołał Ilto. Jedną trzyma Jakób, drugą Książnik, trzecią Podkomorzy, czwartą Zieliński Łożebny, piątą Konarski Starszy nad Strażą, a kłóćą się tylko, który swoją podstawi słabemu Królowi.

— Toż zgroza! rzekł Palój.

— Mało tego, mówił Ilto dalej, mieniają się kobiety co chwila i okropno patrzeć na biednego pana, który traci przytomność, klucze z rąk puszcza, wszystko co ma rozdaje, kona prawie codzien nie przytomniejszy. Nieraz

choremu, gdy się załękna o życie jego, każą podpisywać sobie ceduły, przywileja. Bóg wie.

— A panowie Senatorowie?

— Im drzwi przed nosem zamykają, jak dziś się stało.

— Powiedźcie mi do kogo tu mojej pani udać się z tą sprawą?

— Do kogo, gorzko uśmiechając się rzekł Litwin, a juściż nie do Radziwiłła pana mego, ani do Referendarza, ani do Biskupa, ale do Mniszców, do Giżanki, a bodaj do Książnika lub Jakóba podczaszego, to będzie najskuteczniej.

— Ale ona nie zechce!

— Inaczéj nic nie zrobi, smutnie dodał Iłło. Chceli wyprosić co, nie inaczéj jak piéniédzmi i u nich.

— Ale my nie mamy piéniédzy.

— To trudno.

— Nie można by jednak, aby księżna pani, poradziła się księcia Marszałka i widziała z nim jutro?

— Dla czego nie? Ja mu dziś jeszcze o tém powiem, ale z góry przestrzegam, że nie przez nas nie zrobicie, raczej by wam jako Rusinowi i znajomemu, do Książnika się udać.

— Ależ Książnik pokojowiec tylko.

— On więcej tu znaczy drzwi w rękę trzymając, niż książę Marszałek.

Palój poskrobał się po głowie i zamyślił.

— Z listem bym mu się pokłonił! ale mi wstyd dla mojej pani, takich pomocników jeźdźcać.

— Iłto uśmiechnął się.

— Muszę do księcia, rzekł, bądźcie zdrowi, ścisnął za rękę starego i odszedł.

W drugim końcu izby Jakób Podczaszy szepotał cicho z Jaszewskim Mniszechów sługą, któregośmy widzieli wysłanego pilnować Gizanki.

— Pogniewali się powiadasz? pytał Jakób rudą gładząc brodę.

— I kazał mi ją szpiegować.

— To już dziś nie pójdzie do Króla Jego mości?

— Niepuszczą jój?

— To i dobrze, rzekł Jakób, bo ja mam inną. Wszystkie tu trzy zebrały się za tém w Knyszynie, jakby się wyzwaly.

— Jakto trzy? szepnął Jaszewski.

— E! nielicząc innych, to trzy starsze królewskie kochanki. Barbara Gizanka, Anna z Witowa, co ją tam Król wielkim kosztem utrzymuje, i ta nawet zazdrośnica Zuzanna, przyjechała z Korycką.

— Przecież? już się nie gniewa?

— Pomiarkowała, że to djabła warto, Korycka ją przywiozła sama i myśli pewnie podstawić na miejsce Gizanki, której panowanie minęło. Ej! nabrała bo się dosyć!

— Byłoby z nas połowy!

Tak mówili, gdy żyd Egid wpadł do izby, popatrzał do koła, dostrzegł Jakóba Podczaszego i popędził ku niemu, roztrącając lirnika, cymbalistę i cygana.

Żyd Egid znany domownik i zaufany P. Podkomorzego, był to stary już z siwą, długą

brodą, bladą twarzą, pomarszczoném czołem i czarnymi oczyma nawisłą brwią osłoniionymi, człowiek. Uchodził on za czarno-księżnika, za pośrednika w ciężkich sprawach, w potrzebie szpiega, i sługę zaprzedanego Mniszchom. Żywo chwycił za rękę Jakóba i odprowadził ku kominowi.

— Słysz! to jest Korycka? spytał.

— A jest?

— I z nią Zuzanna?

— Podobno.

— Pan Podkomorzy, chce się widzieć z Korycką nim Król ją wezwie.

— Na co?

— Czy ja wiem! Żyd ruszył ramionami.

— O! ty niewiesz. Cóżby to było że byś ty nie wiedział.

— Ja nie nie wiem, ja robię co każą.

— No to ja ci powiem jeżeli chcesz.

— Powiedz.

Rudy Jakób pokazał śmiejąc się rząd czarnych zębów szkaradnych i szepnął Egidowi.

— Pokłócili się z Giżanką, chcą Zuzannę siostrzenicę Koryckiej podstawić na miejsce tamtej. Prawda?

— Albo ja wiem! a jakby tak?

— No, ja się nie przeciwuję, i ja wolę Orłowskę od Giżanki. Giżanka jak jej nadali ślacheństwo, jak córkę urodziła, nosa do góry zadarła, jej się zdaje, że ona Królowa i na ludzi nie patrzy.

— Wołaj Koryckiej, tylko cicho! niech nikt nie wie i nie widzi! Rozumiesz!

— Takżeś trafił na nowotnego?

Rozeszli się, Egid począł grzać się u komina, a Jakób cofając nieznacznie ku drzwiom, po drodze to tego, to drugiego zaozepiał, waleśał się, kręcił, aż doszedłszy do końca izby, znikł.

Przenieśmy się teraz do izby w której Podkomorzy chodzi wielkimi krokami oczekując powrotu Egida. Nierozpakowane tłumoki zawalają podłogę, łoże żelazne niepokryte jeszcze pawilonem, w końcu tego stoi stół z kamiennym

płytem na wierzchu u okna, na nim świeca woskowa w lichtarzu ciężkim srebrnym.

Pan Mikołaj chodzi kroki wielkimi i stając co chwila, przysłuchując się odbijającym w sklepionym korytarzu odgłosom kroków. Narreszcie zaszelpotało u drzwi, weszła niewiasta, Podkomorzy pośpieszył ku niej, skinął na Jakóba idącego za nią, aby pozostał na straży za drzwiami, a sam poprowadził Koryckę, ona to bowiem była, aż ku oknu. Na twarzy jego widna niespokojność, pomięszanie.

Korycka, stara już zgarbiona, ale jeszcze rzezwa niewiasta, kiedyś może piękną była, ale siedem dziesiątków lat najpiękniejsze niszczą twarze.

Z dawniej piękności, nos tylko pozostał kształtny, wążutki, prosty i oczy nie zewszystkiem zgasłe; ale zęby powypadały, usta się skrzywiły, plecy zgięły, włosy siwe, ręce drzące, pierś wyschła. Na niej czarne odzienie, czarna na głowie obsłona, korale na szyi, na chudych palcach u rąk pierścienie ołowiane,

mosiężne, rogowe, a między niemi złote z kosztownymi kamieniami. Korycka pogląda śmiało w oczy i pod jej wejrzeniem nie jeden się zmiesza, bo zapuszcza w duszę zdaje się wzrok, bo nim dobiera się do tajni, których nikt odkryć by nie chciał. Odważna do zuchwalstwa prawie pewna siebie, wie jak gdzie począć, wie że rzadko kto ustraszyć się nie da.

— Dwa słowa tylko.

Korycka wlepiła oczy w niego i kiwnęła głową.

— Jest z tobą Zuzanna?

— Ona znowu głową tylko poruszyła.

— Ja ją na miejsce Gizanki chcę wziąć.

— Stara splunęła, ona i bez was je zajmie, jak ja zechę.

— Nie, bezemnie nie, odparł Mikołaj. Powiedz królowi, gdy cię o zdrowie swoje pytać będzie, aby dawną kochankę porzucił, chcieli być zdrów, a nową wziął. Król lęka się o siebie, posłucha. Ja wam dobrze życzę.

— I chcecie się mścić na Gizance, dodała stara.

— Może, pamiętaj zrobić jak kazałem.

— Kazałeś? spytała stara. Ja niesłucham ni czyich rozkazów, nawet królewskich.

Mniszech dobył worka i wsunął go w ręce Koryckiej, ona zważyła na dłoni, popatrzała i słowa nie powiedziawszy, wejrzeniem pożegnała Podkomorzego, który ją do drzwi odwiódł, wziął kapelusz ze stoła i pośpieszył do sali, gdzieśmy go wprzód widzieli.

Tu pusto było, brat tylko jego Jerzy siedział w krześle zadumany. Mikołaj doszedł na palcach do drzwi komnaty Augusta, posłuchał chwilę i usiadł przy bracie. Spojrzeli po sobie. Jerzy z pogardą zimną, Mikołaj z niespokojem tylko i nie rzekli. Rozumieli się bez słów. Potem z założonemi rękoma, odwróciwszy głowy, jeden w tę, drugi w inną stronę pogładając, pozostali nieporuszeni.

Z tajemnych myśli obudziło Mikołaja lekkie dotknięcie jego ręki.

Był to Stanisław Fogelfeder, który cały drżący, na palcach, przystąpił ku niemu i błagającym wzrokiem, zdawał się o coś prosić.

— Co to jest? czego chcecie? spytał gburowato Mniszech nie wstając.

— Panie, zlituj się.

— Co to jest?

— Król, król, wy wiecie jak ja go kocham.

— Spodziewam się, że nie więcej odemnie.

Doktór zmilkł, poprawił kręzę, spuścił głowę.

— Zlitujcie się panie, niedozwalajcie tym białogłowom.

— Jakim Panie Fogelfeder.

— Tym czarownicom.

— Dajcie mi pokój! ja nic nie wiem!

— One chcą Królowi dawać jakieś leki, one Króla zabiją! Na Boga, wy będziecie mieć na sumieniu, dodał Doktor przywiedziony do rozpacz.

Mniszech poczerwieniał.

— Idźcie spać, zawołał, a jak się wyśpicie, wam to wyjdzie z głowy. Dajcie mi pokój.

Fogelfeder zwrócił się do Jerzego, ale krajczy jakby się do niczego mieszać nie chciał, wstał i odszedł.

Niemiec postąpił pod drzwi królewskie, ale pochwycony silnie za rękę, przez Podkomorzego, odstąpić musiał.

— Zawołają was gdy będzie potrzeba, rzekł Podkomorzy wskazując drugie drzwi.

Fogelfeder otarł lzy płynące po bladej twarzy, i powoli, jakby się spodziewał, że go odwołają nazad, odszedł.

Na zegarze w komnacie Króla, zegar wydzwonił dziesiątą. W zamku uciszał gwar powoli, czeladna izba na dole i inne mieszkania wyludniały, jedni spoczywać szli, drudzy po swoich kwatérach w mieście rozchodzili. W królewskiej tylko izbie pałały jeszcze ognie, za zasuniętymi firanki, ale i te w krótko przygasać zaczęły.

Cisza głęboka zastąpiła wrzawę.

Wejdźmy teraz do sypialni Augusta. Na wysłaném wysoko łożu zrzuczone leżą suknie, August w czarnej długiej oponcez bez pasa, w czapce sobolowej, sparty na lasce z galką złocistą, stoi oparty na Kniaźniku, pogląda na drzwi niespokojnie, niekiedy uderza kijem o podłogę.

Jakób Podczaszy ze świecą w ręku, stoi u proga.

— Gdzie Mniszech? spytał Król nieukontentowany wyraźnie. Czy go wołano?

Na drugie wyrzeczenie tych słów, otwarły się drzwi i Mikołaj ze świecą w ręku, poprzędzany przez dworzanina Stanisława Czarnotulskiego wszedł do sypialni. August opierając się na Kniaźniku téjże chwili ruszył się z miejsca, skinąwszy aby szli przodem.

Boczne drzwiczki uchylono i naprzód Czarnotulski, za nim Mniszech, potem Król oparty na Kniaźniku, nareszcie Jakób Podczaszy, wyszli w korytarz, na którego końcu było mieszkanie Jakóba, gdzie czekała Korycka. Nikogo nie spo-

tkali w korytarzu, zdala świeciła otwarta komnata, w której znajdowała się wróżka lekarka.

Ubrana jakieśmy ją uprzednio widzieli z podniesioną głową, stała nad stągwią wody, w której zanurzony był czerpak. Zmierzyła Króla oczyma gdy wszedł, tak że August spuścić musiał wzrok, i zatrząsłszy się powitał ją skinieniem głowy. Korycka pochyliła się ku ziemi i nie mówiąc zaczerpnęła wody, nad którą jakieś słowa tajemnicze szemrała, a napiwszy się jej wprzód sama, podała ją Królowi, mówiąc.

— Wypij N. Panie.

August obejrzał się na Mniszcha, z początku wahał się, potem wychylił napój krztusząc się, z odrazą.

— To nie dość, szepnęła baba, obmyć się całemu w tej wodzie potrzeba. Zostawcie nas samych.

I wskazała na drzwi, Podkomorzy pierwszy wyszedł, za nim inni, August niespokojnie obejrzawszy się, rozbierać począł. Ale bezsilny

musiał wzywać pomocy Koryckiej, która odzie-
nie zeń zdejmując, urwała sznurek od lędzwi
i szybko go schowała, jak sama zeznała po-
tém, w mniemaniu że posiadanie tego sznur-
ka, zapewni jój panowanie nad królem.

Potém oblała go wodą całego, szemrząc ja-
kieś słowa tajemnicze, otarła sama i trząsa-
cego się z chłodu, posadziwszy dała znak
dworskim aby weszli. Sama wzięła świecę
w rękę i wiodąc wszystkich za sobą w mil-
czeniu spuszczać się poczęła ze wschodów.
Król dla zimna pozostał, i czarownica, nie
wymagała, aby zszedł, pozostały Mniszech,
zawiódł go do izby Jakóba gdzie pozostał.
Korycka tym czasem zniosłszy wodę w obe-
ności wszystkich zlała ją do rzeki, wyma-
wiając jakieś niezrozumiałe słowa.

Po chwili powróciła, August kaszłał i trząst
się; kobieta znowu dała znak aby wszyscy
odeszli.

— Będziecie zdrowi N. Panie! rzekła mu,
choroba od was odeszła i pociekła z wodą.

August głową z powątpiewaniem poruszył.

— Będziecie zdrowi, dodała, a zdrowie wasze winni jesteście nie mnie, ale tej kobiecie.

— Tej kobiecie! smutnie powtórzył August spoglądając na palec.

— Pamiętacie ją N. Panie, mówiła Korycka, ona to wam dawno, w młodości jeszcze, dała prostą obrączkę, którą pókiście nosili, póty zdrowia i szczęścia wam nie brakło.

— Szczęścia! cicho szepnął August wstrząsając głową.

— Porzućcie Giżankę, dodała Korycka, porzućcie ją, ona wam zdrowie odjęła swojemi czarami, swojemi leki wszak macie Zuzannę.

— Zuzanna jest tu? spytał chory podnosząc się.

— Tutaj i pozostanie jeśli N. Pan rozkażesz.

— Niech zostanie.

— A Giżance, rozkażcie się oddalić.

— I ona tu? żywiżej rzekł August.

— I ona i Anna.

— I Anna! powtórzył powstając Zygmunt.

— Stara wlepiła oczy w króla.

— Dziękuję ci, czuję się lepiej, rzekł, zostańcie w zamku.

To mówiąc pośpieszył do drzwi, widać było z ruchów, że nieco sił odzyskał, otwarto drzwi, dworscy poszli przodem. Już byli u wejścia sypialni, gdy szelest kobiécych sukni zwrócił uwagę królewską. Na prawo ukazała się ze drzwi Barbara Giżanka, prawie jednocześnie, z lewej strony przysunęła się Zuzanna Orłowska, a u drzwi komnaty Anna z Witowa. Spojrzały po sobie i zamilkły mierząc się oczyma zjadłemi. Mniszech pośpieszał naprzód żywo.

— Ale August opóźniał kroku, wzrok jego rozjaśniony na chwilę, błąkał się po trzech kobietach, stojących i czekających przy której zostanie zwycięztwo.

— Giżanka najśmielsza posunęła się i przypadając do niego, ucałowała go w rękę.

— O! ty tu znówu mój sokole (sokołami zwał je zwykle Król), ty tutaj.

— Tutaj i zawsze przy Was N. Panie. Zuzanna zgrzytnęła zębami i zbliżyła się także, ale zapóźno, August chłodno na nią spojrział i nie powiedział, Anna widząc Giżankę z rozjaśnionem czołem i miną zwyciężką, rzuciwszy przekleństwo, zniknęła.

Drzwi sypialni zamknęły się za Królem i Barbarą Giżanką. W drugim końcu korytarza, Korycka z podniesioną ręką, klęła zwyciężką kochankę. Mniszech milczał, Książnik uśmiechał się szydersko.

Nazajutrz Podkomorzy pojednał się z dawną kochanką. Zuzanna wyjeżdżała rozgniewana, Annę udarowaną odsyłano do Witowa, a dwie ładowne skrzynie wyjeżdżały do Ostrowa, dokąd je wiódł szwagier Barbary, Szawłowski.

CIEN BARBARY.

Nazwona wielka niespodziewana zwała za-
sła w zdrowiu królewskim; August obudził
się rzezwy, nogi napuchłe odeszły, sił trochę
powrócił. Fegelfeder przypisywał to pa pro-
ste podróży; Korycka sobie, Giżanka sobie, a
panowie Senatorowie dziękowali Boga, że Kró-
lowi babie leki (o których wiedzieli na za-
jutrz) nie szkodząły przynajmniej.

— O! ty ja znówu niej sokoła (sokołami
zwał je zwykłe Król), ty tutaj.

— Tutaj i zawsze przy Was N. Panie.
Zuzanna zgrzytnęła zębami i zbliżyła się tak-
że, ale zapośno, August chłodno na nią spoj-
rzył i nic nie powiedział, Anna wzięła Biżankę
z rozjasnionem czeleciem i miną zwyciężką, rzu-
ciwszy przekleństwo, zniknęła.

Drzwi sypialni zamknęły się za Królem i Bar-
barą. **YESSAS WEID**
Kochankę. Mniszech młodził, Książnik usmie-
chał się szydersto.

Nazajutrz Podkomorzy pojednał się z dawną
Kochanką. Zuzanna wyjeżdżała rozgniewana,
Anna udarowana odsyłano do Witowa, a dwie
ludowne skrzynie wyjeżdżały do Ostrowa, do-
kąd je wiodł szwagier Barbary, Szawłowski.

Ale o zdrowieniu chwilowe, niezmienilo jak
 tryba życia na zamku Karyzyskiej, opiekę
 nad słabym Królem sług jego, nieskonoczyła
 się przez to. Korzystano tylko z chwili zdro-
 wia i trzewności umysłowej, aby podsunąć
 Augustowi, przywzięte i celiły do podniesienia
 a pan Podkomorzy wyrobił list do Konstanti-
 go Ormianina we Lwowie z przekazem swo-
 my u niego znajdujący się. Giżanka otrzy-
 mała nowe taski, których nikt wielkości ocenić
 nie mógł, przez Korycką i Xuzanna
 Orłowską kilkadziesiąt czerwonych złotych, ty-
 dwa, konie i kosztowności wywiozły.

NIAZAJUTRZ wielka niespodziewana zmiana za-
 szła w zdrowiu królewskim, August obudził
 się rzezwym, nogi napuchłe odeszły, sił trochę
 powróciło. Fogelfeder przypisywał to po pro-
 stu podróży, Korycka sobie, Giżanka sobie, a
 panowie Senatorowie dziękowali Bogu, że Kró-
 lowi babskie leki (o których wiedzieli na za-
 jutrz) nie zaszkodziły przynajmniej.

Ale ozdrowienie chwilowe, niezmieniło już trybu życia na zamku Knyszyńskim, opieka nad słabym Królem sług jego, nieskończyła się przez to. Korzystano tylko z chwili zdrowia i rzeźwości umysłowej, aby podsunąć Augustowi, przywileje i ceduły do podpisania, a pan Podkomorzy wyrobił list do Konstantego Ormianina we Lwowie z przekazem summy u niego znajdującej się. Giżanka otrzymała nowe łaski, których nikt wielkości ocenić nie mógł, przez Muiszcha; Korycka i Zuzanna Orłowska kilkaset czerwonych złotych, rydwan, konie i kosztowności wywiozły.

Z okna zamkowego August na dziedziniec wyjrzawszy, ulubione swoje stada Knyszyńskie oglądał. Wiedziono że stajen konie, pędzono te, które swobodnie się pasaly przez lato i jeszcze nie stały na obroku. Zygmunt jednak poglądał na nie teraz obojętnie prawie, z roztargnieniem. Nie był to już ten gorliwy o wzrost wszystkiego w kraju Król, który takim kosztem i z takim upodobaniem zapro-

wadzał gospodarstwo po majątnościach swoich, mierzył grunta, chował stada i lał działa w ludwisarni Wileńskiej, aby niemi zamki litewskie i ruskie uzbroił; nie był to już August ten, co wysłał za granicę za kupnem ksiąg, co z upodobaniem czytał je i zbierał; co artystów wspomagał i cenić umiał. Teraz mu wszystko obojętne prawie. Dla niego nie ma przyszłości, kilka lat życia może, kilka lat ostatnich, które topi, w nasyceniu żądz schożłego ciała, szukając zapomnienia przeszłości.

Jakby obudzony ze snu, po wczorajszém znużeniu, rozkazał prosić Radziwiłła; ale gdy oznajmiony książę Marszałek, wpadł do sypialni, gdzie Król już zadumany w krześle siedział jak wczoraj; nie rzekł słowa do niego, tylko rękę wyciągnął drżącą, spojrział i dumał znowu. Na chwilę pobudzone życie, opuściło go już.

— Zdrowie W. Królewskiej Mości?

August kiwnął głową i ręką poruszył.

- Lepiej, rzekł Radziwiłł.
- Nie gorzej, odparł Król.
- Dzięki Bogu, odezwał się książę Marszałek, bo przy złém zdrowiu W. K. Mości, spraw wiele zalega, a panowie Senatorowie polsey szemrzą. Można by się zająć niemi.
- Potém, potém, rzekł August, dajcie mi spocząć. Sprawy publiczne! *Za temi sokołami do niczego wziąć się nie mogę.* Nie mam nawet siły.
- Mamy listy z Turcij, pisane od pana Starosty Orszańskiego o Moskwie, mamy papiezkie.
- Na potém, na potém, rzekł Król z wysileniem.
- Róbcie co myślicie, dodał, że będzie z dobrem kraju, ja nie mam przytomności i prawdę rzec ochoty. Życie mnie zmogło.
- Gdybyś W. K. Mość chciał tylko.
- Będziecie mówić przeciw tym kobietom? ozwał się August.

— Mówiłbym żebym wiedział, że mnie W. K. Mość usłuchać zechcesz.

— E! dajcie pokój! Nie wiele tego życia, niech się już kończy jako tako. Na co go szczeniść będę. Potomka wam nie zostawię, Jagielloński ród gaśnie ze mną, jam ostatni. I westchnął. Wybierzecie sobie kogo. Marnie skisło mi życie, odpowie za nie Bogu i Polsce, matka nasza, a po niej kardynał Commendoni. Teraz wszystko mi obojętne, aby dożyć końca.

Radziwiłł który już nie jednokrotnie sły-
szał podobne wyrzekania, często z ust Kró-
lewskich wychodzące, spuścił głowę i rzekł.

— Wszystko jeszcze przed W. K. Mością,
nie wiek to późny.

— Zdrowie stérane.

— Może się poprawić, z pomocą Bożą.

August głową wstrząsł.

— I niechcę, rzekł, życia. Aby bez męki skończyć je. Męczę się wspomnieniami. Wy nie znacie moich nocy bezsennych, nocy okropnych marzeń, kiedy mi całe zmarnowane

życie, kiedy mi wszystko wydarte com kochał, staje u węzłowia i dręczy. To okropne! okropne.

I powiódł ręką po czole i wstrząsł się.

— Elżbieta, Barbara, wydarte, Królowa matka, i ta trzecia, i te nieczyste istoty, co mnie dziś otaczają konającego, kruki nad pastwą!

— Czemu ich W. K. Mość nie odpędzisz?

— Chwila odurzenia, zapomnienia, którą im winien, także coś warta.

I zamilkł.

— Pozwolisz W. K. Mość pp. Senatorom pomówić o sprawach publicznych?

— Nie, nie, dajcie mi pokój, potrzebuję spocząć.

— Jest też wiele prywatnych.

— Sądźcie je, sądźcie, ja nie mam głowy, Radziwiłł dostrzegł dwóch łez, które po licu bladém i wychudłém Króla, potoczyły się i spłynęły na brodę. Nastąpiła chwila milczenia smutna i uroczysta.

— Wszystko skończone! rzekł do siebie

jakby mówiąc August, potem z weselszą już i odmienioną twarzą, zwrócił się do Radziwiłła.

— Trzeba ciało nasycać, gdy duszy już nie można!

I krzyknął na Książnika. We drzwiach sypialni ukazał się pokojowiec, Książę Marszałek pożegnany skinieniem, odszedł.

Zasmucony przesunął się przez salę, spuścił ze wschodów, gdy tuż napotkał Iłgę dworzaniina swego, oczekującego nań.

— Oczekują na W. Ks. Mość.

— Kto?

— Księżna Solomerecka.

Radziwiłł się zadumał.

— Jaka Księżna? spytał.

— Jedną tylko jest?

— Umarła przecie, jak nam z Rusi donoszą.

— Żyje i chce pomówić z W. Ks. Mością, przybyła prosić łaski Królewskiej i sprawiedliwości na brata, który jęj majątności zagarnął.

Książę Marszałek stał w podziwieniu.

— Gdzie ona jest?

— W mieszkaniu W. Ks. Mości.

Radziwiłł ruszył się żywiej, zamyślony.

Na progu komnaty, postrzegłszy kobietę w czerni ubraną całkiem, okrytą zosłoną wdową, osłupiał i cofnął się.

Księżna tak była podobna do nieboszczki Królowej Barbary, że mimowolnie, Marszałek tém podobieństwem dziwném uderzony zastanowił się i zmięszał. Patrzył i oczekiwał głosu z wahaniem się długim, bo jęj nawet nie przywitał.

— Do łaski W. Ks. Mości, odezwała się Księżna zbliżając, do sprawiedliwości Królewskiej przybyłam.

Głos jęj był także podobnym do dzwicznej mowy nie oplakanęj nigdy młodęj Królowęj, Książę Marszałek nie wychodził z osłupienia.

— Przebaczenie, rzekł nakoniec, dziwne podobieństwo, przypomnienie, odjęło mi przytomność. Usiądźcie, słucham i w imie tęj do

której twarzą i głosem podobni jesteście, uczynię wszystko, wszystko co będę mógł.

— Dzięki choć za pociechę, której dawno nie kosztowałam, płacząc odpowiedziała Księżna. O! zaprawdę, jam bardzo biedna i zasługę u Boga mieć będzie, kto mnie podźwignie z nieszczęścia.

— Nie wiem czyście nawet słyszeli kiedy o mnie.

— Owszem, pamiętam, przerwał Książę, opiekę stryjów W. Ks. Mości, pozostałego na natrętne pragnienie ożenienia was.

— Stało mu się zadosyć, mówiła dalej Księżna, ledwie dorosła zaślubioną zostałam synowi jego, ale bez dyspensy papieżkiej po którą wysłany zaufany duchowny do Rzymu nie wrócił. Zaślubiona i odesłana na dwór Królowej matki, gdy to małżeństwo jeszcze skrytym być musiało, padłam ofiarą nie moich win. Mąż mój zabity w potyczce, ojciec z rozpaczny umarł: ja wdową z dziećciem pozostałam. Brat męża mojego naówczas właśnie z za gra-

nicy powrócił, ale ani małżeństwa nieszczęśliwego, ani dziecięcia za prawe uznać nie chciał. Owszem dziecię to pogrobowe starał się i stara pochwycić, aby sam w posiadanie majątności mógł wejść. Młodość mojego syna oznacza się ciągłą walką z prześladowaniem; matka — musiałam się z nim rozdzielić, porzucić go, opuścić, aby nań niebezpieczeństwa nie ściągać. Napadany kilkakroć przez nastanych ludzi, opatrnością tylko Bożą, uratował się.

A któż wie co teraz z nim się dzieje? dodała płacząc. Bez opieki, sierota musi chleba zebrać. Wolałam dla niego ubóstwo nad śmierć i wyrzekłam go się na czas. Ja sama już za umarłą miana, i dobra zagarnione.

— Wy? spytał żywo Książę.

— Tak jest, po tajemnym moim wyjeździe do Króla, pan brat, nie mogąc wiedzieć co się ze mną stało. Śmierć rozgłosiwszy, majątki objął.

— Do tych was powrócą, rzekł Marszałek,

ale dziecię? Są dowody tego nieszczęsnego małżeństwa.

— W ręku księdza co je dla uzyskania dyspensy powiózł do Rzymu.

— A ten ksiądz, powiadacie, powrócił?

— Nigdy dowiedzieć się nie mogłam.

— Jego imię.

— Hauser.

Radziwiłł myślał chwilę.

— Dawno wyprawiony.

— O! lat piętnaście.

— I żadnej wieści?

— Żadnej!

— To okropnie! zawołał Radziwiłł, ale muszą żyć świadkowie?

— Nie wiem, lecz wyszukać ich nie mogłam jedna tylko kobieta.

— Król JM. zna was? dodał Radziwiłł nie spokojnie wpatrując się w Księżnę.

Na te słowa pomięszanie wyraźne na twarzy Sołomereckiej postrzedz się dało, spuściła oczy i ciszej odpowiedziała.

— Nie wiem czy J. K. Moś przypomni sobie, byłam czas jakiś na dworze Królowej matki.

— Zygmunt pan nasz, widywał was?

— Widywał, ciszej jeszcze wymówiła Księżna.

— Spodziewam się, że wszystko pójdzie dobrze, rzekł Radziwiłł, postaram się wprowadzić was do niego wieczorem. Tym czasem nie ukazujcie się nikomu! Mogli by wam szkodzić! Ja oznajmię.

To mówiąc powstał i żegnając Sołomereckę u drzwi, niespokojny wrócił do Króla.

Ale drzwi były zamknięte, wejście wzbrowione i Referendarz koronny z księdzem Biskupem Krakowskim stali w sali słuchając jak Giżanka, głośno coś Augustowi opowiadała, częstym sobie przerywając śmiechem.

Senatorowie spojrzeli po sobie jak wczoraj.

— Czego tu czekać będziemy, zawołał popędliwie Biskup, aby się spotkać chyba twarz w twarz z nieczystym stworzeniem, które bie-

dny Król wybrał na zabawkę dni starych?
Chodźmy.

I znowu nie zobaczywszy Króla, odejść musieli.

Takim sposobem dzień upłynął, Radziwiłł pragnąc Królowi oznajmić o przybyciu Księżnej, nie mógł się do niego dostać, pomimo że kilkakroć wychodził i oczekiwał, pomimo że on jeden z Senatorów łatwiejszy miał przystęp do Augusta i ucho powolne.

Zmierzchno już, gdy Księżna znowu powróciła na zamek, w tém samym ubraniu co z rana, w żałobnej sukni wdowiej i zasłonie. Z dawnych dostatków, pozostałe perły wielkiej ceny i gruszka perłowa w djamenty oprawna, na włosach przypięta, zdołały tylko wdowę. Z pod zasłony, jęj blada twarz bielszą się jeszcze wydając, uderzała wszystkich dziwnem do Barbary podobieństwem.

Książę Marszałek uprosiwszy aby zarzuciła zasłonę, podał jęj rękę i w milczeniu powiódł na wschody. Głębokie panowało milczenie;

szczeńciem może, nikogo nie znaleźli w sali, ani Podkomorzego, ani Krajezgo, ani żadnego ze sług zuchwałych, co zwykle tamowali wejście do Króla.

Radziwiłł zapukał znanym sposobem i głos ze środka ozwał się słaby.

— Wejdźcie.

Zmierchało; na kominie dopalał się ogień czerwonymi blaski rzucając na komnatę, z okna trochę światła wpadało. Na wezwanie Augusta Książę drzwi otworzył i zrzucając kwef z głowy, Sołomerecka ukazała się we drzwiach.

August podniósł oczy, zatrzęsł się, krzyknął, porwał z siedzenia i przerażony zakrywając oczy rękoma upadł.

— Basiu! zawołał, Basiu! Ty mi śmierć rychłą zwiastujesz! Ty mi moje życie wyrzucasz. To ona!

-W tej chwili ukazał się Radziwiłł i pośpieszył bezprzytomnego ratować.

Księżna zmieszana sama nie wiedziała co

począć, Król drzał ze strachu i płakał, na krzyk jego zbiegli się Mniszech i słudzy.

— Widmo, mara, wołał August, co to jest? To Barbara!

— To księżna Sołomerecka, przerwał Marszałek, która do nóg W. K. Mości z prośbą o sprawiedliwość przychodzi.

— Kto? spytał August, jaka księżna.

Radziwiłł powtórzyć musiał. Uspokojony Król, ciągle płacząc jednak oczy wlepił w stojącą na progu niewiastę.

— Tak, tak, przypominam sobie, szepnął, na dworze Królowej matki, była tego nazwiska, młoda, podobna do Basi. To wy.

— Tak, ja to Najjaśniejszy Panie, ze łzami odpowiedziała Księżna, dziś wdowa odarta ze wszystkiego, dziś matka pozbawiona dziecięcia, prześladowana, ugnieciona, wyglądająca sprawiedliwości od Was miłościwy Królu. Sprawiedliwości dla mego dziecka!

— Przypominam, przypominam sobie, rzekł Król z widocznym wzruszeniem. Gdzie syn wasz.

— Prześladowana — ukryć go, rozłączyć się z nim musiałam. Śmierć moją rozgłoszono na Rusi, majątności brat zagarnął, wszystkiego od was miłościwy Królu czekam. Ratuj mnie.

August upadł na kolana wdowie podnieść się kazał, posadził ją podług siebie i wpatrując się w jej twarz blada, trzymając ją za rękę, płakał.

Wspomnienia jakieś stare, tłumem spadały mu na piersi, przypominał sobie Barbarę ukochaną, krótkie szczęście swoje, zgon jej okropny; i żal nigdy nie wygasły a ciągle tłumiony i zagrzebywany w sercu, z nową siłą odżył.

Obraz to był pełen smutku, schorzały i wycieńczony Król, blada i smutna kobieta, w tyle Radziwiłł ponuro patrzący na służbę, która z rozmaitemi myślami, uczuciami, poglądała na przybyłą. Przez uchylone drzwi sypialni, Giżanka z okiem zapaloném, ognistém, wargą drżącą, pożerała przybyłą, usiłując wybadać,

kto jest? Serce jój biło gwałtownie, niepokój trapił, nikt powiedzieć jój nie umiał.

— Kto ona?

Mniszech, który sobą mierzył wszystkich, szydersko patrzył na Marszałka, jakby mu wymawiał, że wprowadził tę kobietę do Króla.

— Wzruszenie, szeptał z cicha Radziwiłłowi, może Króla o chorobę nową przyprawić. Po coście tu tę kobietę przywieśli?

— Mości Podkomorzy, dumnie odparł Marszałek Litewski, nie potrzebuję nikomu zdawać rachunku z moich czynności, tron Boga i Króla JMości.

Mniszech zagryzł usta i odszedł ponury.

Król tym czasem wypytywał powoli Sołomerecką i zwoławszy pisarzy, rozkazał list z przykazaniem wprowadzenia jój na powrót do dóbr z synem razem, pisać.

Ale list już to z powodu oddalenia się pisarza, już że nie było stosownej pod ręką pieczęci, gotów być zaraz nie mógł.

— Ja go odbiorę, rzekł Radziwiłł, jeżeli W. K. Mość dozwolisz.

— Wy go odbierzecie, tak. I pomnijcie, dodał, abyście się opiekowali nią. Tak podobna do Królowej małżonki naszej - najmilszej i nigdy nie oplakaniej.

Beata, co by się miała radować szczęśliwemu trafowi i skutecznej opiece, zdawała się temi ostatniemi słowy, bardziej jeszcze pomięszana. Spuściła oczy w milezeniu; Król ciągle za rękę ją trzymał, a gdy Marszałek dał znak odejścia, gdy ona rzucić się do nóg Królowi dziękując miała, August ją powstrzymał jeszcze.

— Niech na was patrzę, rzekł, to mi lepsze czasy mego żywota na pamięć przywodzi, to mi serce miękczy. A! byłem i ja szczęśliwy, ale krótko, krótko. Jak wiatr zaszumiało i przeszło szczęście moje!

Przytomni słudzy widocznie tą sceną nie cierpliwiili się, Mniszech kilkakroć przystępował i szeptał coś do ucha Królowi; Gizanka

z gniewem zatrzasnęła drzwi i udała się do swojego mieszkania, rozkazując oznajmić że więcej nie przyjdzie, bo pragnęła aby ją proszono. Chwilę to jeszcze potrwało, a August wpadł w tak głębokie zamyślenie, w zadumę tak czarną, że niezważał, jak Książę Marszałek i Księżna pożegnawszy go wyszli.

Sam jeden z Książnikiem pozostawszy nie ruszał się z miejsca i wlepione nieruchomie w ścianę oczy, tylko łzy czasem płynące ożywiały. Na próżno służalec rozmaitemi głosy starał się pana wyprowadzić z tego stanu odrętwiałości; nic nie pomagało.

— Rozkażesz W. K. Mość przyjść Barbarze? spytał nareszcie.

Król się z wstrętem i obrzydzeniem odwrócił, spojrzął i rzekł.

— Nie.

— Amy nie ma, dodał Książnik, Zuzannie?

— Nikomu. I znowu patrzył, znów dumiał.

Po cichu na palcach służa wyszedł do sypialni. Tam już niespokojna siedziała Giżanka.

Uciekwszy do swojej komnaty, długo w niej pobyć nie mogła, zazdrość miotała nią, pędził strach utracenia władzy nad słabym Augustem.

— Kto to był? spytała żywo. Co to za kobieta? Kto ona? Po co? Kto ją przywiódł? Król mnie nie wołał?

Na te nagromadzone pytania, Książnik powtórzeniem swęj rozmowy z Królem odpowiedział. Gizanka powstała, zmieszala się i postąpiła do drzwi.

— Król nie kazał was wprowadzać.

— Wejdę sama, rzekła dumnie kobieta i z trzaskiem roztwierając drzwi, wpadła z zapalonemi oczyma do komnaty gdzie August płakał jeszcze. Na widok Gizanki, zmieszał się i z odrazą, dał znak ręką aby wyszła.

— Co to jest? żywo poczęła mówić zbliżając się Barbara. Dla czego mi się oddalić każecie? mnie? matce waszego dziecięcia?

Oczy Króla zajaśniały żywo, prawie gniew się w nich odmalował, już zdało się miał rozkazać aby ją precz wyrzucono. Książnik cze-

kał tylko na słowo. W tej chwili Gizanka miotana niepokojem, zbliżyła się tak że prawie dotknęła szaty jego.

— Nie dotykaj mnie! nie dotykaj! zawołał August. Idź sobie! Idź!

— Co to jest, panie! Dla czego!

— Dziś, niechcę cię, idź odemnie! nie dotykaj!

A to mówiąc ręce nastawił, jakby chciał odepchnąć.

Rozgniewana, w rozpaczę Gizanka sądząc że ją Król wezwie uciekającą, rzuciła się gwałtownie do drzwi, ale August nie skinął nawet.

Z sypialni wysunęła się w korytarze, i zapalona gniewem, do izby Podkomorzego Mniszcha wpadła. Tu na krzesło się rzuciwszy, płakać ze złości poczęła.

— Co ci jest? spytał podchodząc zdziwiony P. Mikołaj.

— Król mnie odpycha, Król precz mi odejść kazał, nie dozwolił mi się zbliżyć do siebie. Nie wiem co to jest? Ratuj mnie.

— Ja wiem co to jest! odrzekł spokojnie Podkomorzy. To przejdzie. Jest to tylko wspomnienie Barbary, którego nań naprowadził Marszałek.

— Marszałek! zawołała Gizanka, on ją tu umyślnie przywieść musiał, sprowadzić, aby mnie odepchnąć, zgubić.

I płakać zaczęła, tupiąc nogami, potem porwała się.

— Ale ja ją struję, ja ją zabiję.

— Na co to wszystko! rzekł Mniszech, ja ją jeszcze dziś z Knyszyna odprawię.

— Marszałek bronić jej będzie, on nie bez myśli wprowadził tę kobietę.

— Wszystko to być może, wspomnienie Radziwiłłownej, zawsze to na Radziwiłłów koło woda, a ekonomja Szawelska.

— Król mnie wypędzi, jeśli ona tu zostanie, panie Podkomorzy, co chcesz uczynię, wypraw stąd tą kobietę. Ona mnie i ciebie zgubi, ty stracisz serce królewskie.

— Ona wyjedzie.

— Dajcie jęj ten list, którego ona chce, i niech wraca. Ona Księżna, ona pani, na co jęj łaski i dary królewskie; a mnie, a mnie, dodała, potrzeba złota, ile go jest, ile go tylko można zabrać; ja straciłam życie, cześć, wszystko, niech mi zapłaci za nie, niech mi zapłaci. O! młodość moja stęrana! jest że co by ją zapłacić, nagrodzić mogło. Ona nie wróci, nie wróca spokojne, jasne dni klasztoru.

I Gizanka zamilkła pod płaczem cichym, ale wkrótce podniosła się rozżarzona znowu.

— Dziś, zaraz, wyprawuj tę kobietę, niech ona tu nie będzie, niech Król o tém zjawisku zapomni. Odprawił mnie jak zapowietrzoną.

Mniszech klasnął w ręce i szepnął kilka słów, przybyłemu Jaszewskiemu. Ten pobiegł do pana starosty Bielawskiego, wysłano Egięda do miasteczka.

Gdy się to dzieje w zamku, w domu garbarza zadumana siedzi sama jedna Księżna. Janowa modli się u komina, Pałej rozmawia

z Mortchelem woźnicą. Wszyscy cieszą się nadzieją, powtarzając sobie z nieskończonemi odmiany, jak Król, przyjął ich panią.

W tém skrzyły drzwi gospody i Egid wsunął się do izby gospodarza, gdzie żydzi siedzieli nad wieczerzą. Wziął na stronę garbarza, powiedział mu słów kilka, narzucił czapkę na uszy i zniknął. Garbarz zmieszał się, powtarza woźnicy co usłyszał od Egida. Mortchel pędem wybiegł wnet do stajni, do Paleja. Paléj siedział już, grzał się przy kuchni.

— Co ci jest? spytał żyda, spostrzegłszy jego pomieszenie.

— Po wszystkiém! zawołał woźnica łamiąc ręce i rzucając na wszystkie strony oczyma. Naszój pani grozi niebezpieczeństwo, potrzeba jechać, potrzeba wyjeżdżać zaraz.

— Co? oszalałeś? rzekł Paléj. A jakież tu jój grozić może? pod bokiem królewskim? Gdy już otrzymała najlepsze obietnice.

— Potrzeba jechać, mówił żyd uporeczywie.

Tylko co przychodził do gospodarza stary powiernik pana Podkomorzego, on przestrzegał, abyśmy co najrychlej, téj nocy jeszcze wyjeżdżali, inaczéj może być nieszczęście.

— Upiteś się, czy oszalałeś?

Żyd z rozpaczy porwał się za pejsy i posunął do drzwi samej Księżny. Paléj zaparł mu drogę.

— Nie idź!

— Nie wierzysz, spytaj gospodarza, on nas dłużej trzymać tu nie chce.

Paléj pobiegł do garbarza, który powtórzył mu radę wyjazdu.

— Ale cóż się stać może? wołał stary, gdy Król obiecał pomoc, gdy dziś Jmść najlepiej przyjął.

Nie wiedząc co począć, Paléj udał się nareszcie do pani Janowój i po długiej naradzie, postanowili wszystko powiedzieć Księżnie.

Wiadomość ta jakkolwiek niespodziana, nie zrobiła na niéj takiego wrażenia, jakiego się oboje obawiali. Księżna napisała słów kilka

do Marszałka i wysłała z niemi Paleja. Ale jak dostać się do zamku w nocy? Jak pismo tak późno do Marszałka oddać?

Stary sługa wychodząc z bramy poskrobał się w głowę i spojrzawszy na ciemne zachmurzone niebo, puścił ku zamkowi.

Wszystko już tam spało, światła pogasły i strażę tylko chodziły milczące po wałach, odzywając się niekiedy półgłosem, krzyki ich i grzechotki obiegały naówczas zameczysko, a po nich następowało znowu milczenie, szumem tylko wiatru niekiedy przerywane.

Palój łatwo przeszedł bramy i dostał się w dziedziniec, ale tu nie trudniej mu było znaleźć ludzi Marszałkowskich, rozpierzchłych i śpiących. Żadnego z nich prócz Ilły nie znał.

Natrafiwszy w izbie czeladnej, gdzie się ogień palił jeszcze i dwóch dworzan Mniszchowskich grali w kości na śpiącego sługę Radziwiłłowskiego, stary uprosił że go mimo spóźnionej pory zaprowadzono do Ilły, ten

już spał, ale zbudzony, usłyszawszy o co chodzi, wnet suknie na siebie wziął i pośpieszył do komnaty, w której Książę Marszałek jeszcze z pisarzem swym, listę do Litwy, przez jutrzejszą kresę wyjść mającą, kończył. Zdziwił się i poruszył Książę, odczytawszy pismo, ale z krwią zimną, rzekł do Itły.

— Weź W. Mość ludzi moich dziesięciu, co najsprawniejszych, siadajcie na koń jedźcie do gospody Księżnej za tym, który kartę przyniósł i nie odstępujcie od drzwi jej ani na chwilę, aż do mego rozkazu.

Itło wysłuchawszy dyspozycyi szybko zbiegł i poszedł ludzi swych budzić. Przywykli do ślepego posłuszeństwa, pocztowi znaleźli się w chwili na koniach i ruszyli z zamku poprzędzani przez Paleja. W milezeniu otoczyli dom garbarza zewsząd, spoglądając bocznie czyli kto ku niemu nie zbliży się.

Palój z Itłą po cichu weszli do środka. Żyd przerażony groźbą, już się do koni zaprzęganania zabierał.

— Porzuć to, rzekł Palój i idź spać.

— Spać! spać, cały drżący wołał Mortchel nam trzeba jechać, uciekać.

— Możesz bezpiecznie położyć się.

— A to kto? spytał żyd postrzegając przybyłego.

— Przyjaciel, i z nim dziesięciu konnych, którzy do koła domu stoją. Bądź spokojny nie się stać nam nie może.

Żyd pobiegł zajrzeć dla przekonania o prawdzie, a policzywszy pociemku, stojących na koniach ludzi, nieco uspokojony powrócił.

— Dopiero mi duch odszedł, rzekł śpiesząc do gospodarza.

Palój tym czasem doniósł Księżnie, że posiłki przyprowadził i uprosił ją, aby się do spoczynku miała.

Noc jednak cała przeszła w trwodze dla wszystkich, chociaż nic się nie trafiło, bojaźń tę usprawiedliwiającego.

Nad ranem, zostawiwszy kilku swoich wewnątrz domu, Iłło odjechał do zamku.

Zaledwie na dzień, Egid przybiegł znowu.

— A co wyjechała? spytał gospodarza.

— Gdzie tam! posłali tylko na zamek, dostali straż i zostali.

Egid głową pokręcił i brwi zachmurzył; spojrzął w sien. W sieni grzeli się u kuchni ludzie Radziwiłłowscy. Uszedł.

W komnacie Mniszcha narada, Giżanka niepokojna, nagli aby niebezpieczną kobietę, której się lęka jako współ zawodniczki, co najrychlej wyprawić.

Wysłany Jaszewski na zwiady, sam poszedł przyśpieszać wygotowanie listu z Kancellaryi Królewskiej, odebrał go na swoje ręce i puścił się do miasteczka.

Księżna tylko co wstała z łoża, na którym strach i przecucie nie dały jej spoczynku, gdy Jaszewski, stawiał się w gospodzie. —

— Czego chcecie? spytał go Palój.

— Do Księżnej wejść i z nią mówić.

Od stóp do głowy zmierzyszy oczyma

szlachcica, stary sługa, zdecydował się nareszcie wprowadzić go.

— Od Księcia? spytała powstając niespokojna wdowa.

— Nie, Jaśnie Oświecona Pani, od kogo innego, ale to rzecz wam niepotrzebna wiedzieć od kogo. List przyobiecany przez Króla JM. mam w rękę.

— A! dajcie mi go, niech wam Bóg nagrodzi!

Jaszewski cofnął się.

— List ten oddany wam być nie może aż gdy stąd wyjedziecie.

Księżna osłupiała.

Dla czegoż ten pośpiech? co za powód?

— Nie wolno mi mówić. Na wyjeźdném oddam.

— Pokażcież mi przynajmniej.

Jaszewski rozwinął podługowaty pargamin z Królewską przywieszoną pieczęcią i ukazał Księżnie tak, że na nim imię swoje i syna

wyczytać mogła. Porwała się wnet wołając aby wszystko sposobiono do odjazdu.

Żyd był gotów. W godzinę rydwan toczył się powoli po przemokłej drodze z Knyshyna ku Rusi wiodącej. Jaszewski oddając pargamin dziwnie rzekł groźnie.

— Nie wracajcie!

Zawrócił konia i zniknął.

wydział mógł. Powstał się wnet wolało
 aby wzięto spozobiono do objawu.
 — Żył był złoty. W gołynie rzywan to-
 czy się powoli po przemożki dnoze z kuz-
 azym ku lusi wiodąc. Jazewali odhajo
 parzymi dwinie rzeki grzono.

— Nie wzięto.
 Nawdoli koma i znikni.

URWIS.

Wobec teraz do Plebanij, gżeszmy zo-
stawili Macka staroś, ukrytego przez Magdę,
kłodów rozmawiających na ganku i laguna
spójnego w karancie.

Zaraz po obiedzie, w czasie którego Orgeś
niada ologie się zrywał na ocmo, wysi do
przyjucioy staroś, przykłała się do ocyzan-
ocenia nas i od,ada goj, rozczali się kic,howie

BRANDS

po wsi. Natalia Magda tylko w ślubie
 Maćka w imię Prochocza
 Dławiąc czołog sara kucharka zamyslała
 się sparta na odrańnianym lokciu, jak nigdy
 nie bywała, widok Lagusa wprawił ją może
 w te myśli niewykre. Wziliśmy że w exa-
 sie opowiadania Maćka wywała się między ol-
 nie x wyrażeniem dajonym do zrozumienia, iż
 dział ten opcy jej nie był. Wziliśmy, że
 przybycie jego, uczyniło także właśnie na
 kucharkę.

VIII.

Wróćmy teraz do Plebanij, gdzieśmy zo-
 stawili Maćka sierotę, ukrytego przez Magdę,
 klechów rozmawiających na ganku i Lagusa
 śpiącego w karczmie.

Zaraz po obiedzie, w czasie którego Orga-
 nista ciągle się zżymał na samą myśl że
 przytulony sierota, przykłada się do oczysz-
 czenia mis i odjada go; rozeszli się Klechowie

po wsi. Została Magda tylko w kuchni, a Maciek w izbie Proboszcza.

Dziwnie czegoś stara kucharka zamyslała się sparta na odrapanym łokciu, jak nigdy nie bywało, widok Lagusa wprawiał ją może w te myśli niezwykle. Widzieliśmy że w czasie opowiadania Maćka wyrwała się mimowolnie z wyrażeniem dającym do zrozumienia, iż dziad ten obcy jej nie był. Widzieliśmy, że przybycie jego, uczyniło także wrażenie na kucharce.

Przeszłe jej życie, pokryte dla nas najgrubszą ciemnością, dozwala domyślać się dawnych jakichś, nie zapomnianych jeszcze stosunków.

Nie długo zasnawszy Lagus przechodził się i posłyszawszy głosy w karczmie, udał wewnątrz. Tam już była cała Klesza gromadka, w towarzystwie Zawali-drogi i innych wieśniaków, piwo zapijająca, Posiedziawszy chwilę na ławie i dowiedziawszy się zręcznie,

że Pleban nie wrócił jeszcze, z udaną obojętnością Lagus wszedł wprost do Plebanij.

Psom które nań czekać poczęły przeraźliwie we wrotach, rzucił przygotowane galki z torby, a sam oglądając się do koła z miną człowieka, dla którego żaden rzut oka nie jest straconym, pośpieszył ku gankowi. Magda już była w proggu, ale pomieszana niewymownie i sama niewiedząc co począć z sobą. Chciała wołać na czeladź, ale głos jej zamierał w ustach. Z wejrzenia znać było, jak srodze lękała się Lagusa.

Dziad nie mówiąc do niej, usiadł na ganku.

— Ha! nie poznaliście mnie, pani gospodyni, rzekł po chwilce, a powinniście taki trochę pamiętać, bośmy dawniej z sobą bywali.

— Na Boga cicho, cicho. Jeszcze kto posłyszysz!

— A cóż mi tam, niech słuchają. Toż gdyby spytali, potrafię powiedzieć i kędy was widziałem i coście tam robili w Krakowie?

— Milecz, stary, czego chcesz odemnie? Czego chcesz?

— Ot! naprzód, jeś by się należało rzekł Lagus podnosząc łeb.

Magda poskoczyła do kuchni, dziad tymczasem uchylił drzwi komnaty księdza i spojrział. Maciek spał na posłaniu. Pokręciwszy głową, Lagus usiadł znowu na swoim miejscu. W krótkce kucharka mu wyniosła misę stawy i kawał chleba z serem.

— Na, jedz i idź sobie z Bogiem, odezwiała się stawiając przed nim. Bodaj ci bokiem wylazło.

— O! o! a na cóż te klątwy! na starego przyjaciela.

Spokojnie, powoli, zajadał dziad, niekiedy tylko rzucając na Magdę wejrzeniem, którego ona napróżno chciała uniknąć. Skończywszy strawę, a schowawszy chleb i ser do torby.

— To się przyda, rzekł, na głodny dzień.

— Z panem Bogiem, zawołała Magda i idźcie sobie, niech was Bóg prowadzi.

— Już to byście mnie wygnać chcieli? spytał Lagus szydersko. Oj! a kiedy nie pójdę?

— Ksiądz zaraz powróci.

— Albo to ja się go boję.

— Klechowie nadejdą.

— Piją oni i pić będą pewnie do wieczora. Zresztą choéby téż i wrócili?

— Ale ja nie mam czasu, zawołała Magda, iść muszę.

— To idź sobie, rzekł dziad, ja tu posiedzę. Co to boicie się, abym czego nie ukradł?

— Może i to być.

Dziad pokręcił brodą, chrząknął i wstając rzekł.

— Czekać muszę na Proboszeza, żeby mi coś powiedzieć o jego kucharce.

Magda zbladła.

— Tylko mnie nie strasz, jak by przyszło gadać, znalazłoby się, co i o tobie, stary.

- To ja wiem, że nie anioł.
 — Boś czart duszą i ciałem.
 — To, to nic. Ale, człeczysko jak wszyscy.
 Słuchaj no Magdo, jest tu u was chłopiec
 jakiś?

Kucharka zafrasowała się, poczerwieniała, otarła fartuchem i żywo odpowiedziała.

- Był, ale poszedł.
 — Doprawdy? drwiąco rzekł dziad, a! poszedł! poszedł spać? nie prawdaż?
 — Kiedy ci mówię, że poszedł.
 — Kiedy ci mówię, że jest.
 — Nie ma.
 — Tylkom co go widział śpiącego, odparł
 Lagus.

— A choćby i był to cóż? nabierając odwagi zawołała kucharka.

— Ja go potrzebuję i muszę z sobą wziąć, krzyknął dziad wstając. A nie, a będziesz ty mi się przeciwieć, to poczekam na Proboszcza, i powiem mu wszystko co o tobie wiem.

— Gadaj sobie, z udaną obojętnością zawołała Magda, nie boję się.

— Nie boisz? zobaczemy!

— Zobaczemy.

Nastąpiła chwila milczenia, Lagus poskrobał się w głowę.

— Długo czekać, rzekł, a mnie pilno.

— Coż będzie Magdo?

— Nic nie będzie.

— To taki chcesz, abym wszystko wyśpiewał, abyś miejsce utraciła, a może i gorzej jeszcze.

Magda była tak pomięszana, że słowa wyrzec nie mogła.

— A jak mi pozwolisz chłopca wziąć.

— Choćbym go i wziąć dozwoliła, to jak? cicho odezwała się kręcąc fartuch w palcach.

— E! na to poradzim. Ty pójdziesz go zbudzić i powiesz mu, że kobieta jakaś czeka na niego w karczmie i przysyła za nim.

— Ale ja tego nie zrobię.

— Dla mnie Magdo? śmiejąc się rzekł

Lagus. Co to tobie się stało? ty dawniej taką nie byłaś upartą, pamiętasz.

Kucharka aż się cofnęła, całą jej twarz oblewał pot zimny.

— A nie, to poczekam na księdza Proboszcza, obojętnie rzekł Lagus siadając.

I spojrzął na nią, ona nie nie odpowiedziała, ale dziad widział już że ją strachem pokonał, wziął kij w rękę, nasunął czapkę na oczy i odchodził.

— Powiedz mu, rzekł cicho, że jakaś kobieta, czeka na niego w karczmie słyszysz! powiesz?

— Powiem, szepnęła Magda. Ale ty go nie zabijesz Lagus?

Dziadzisko ruszył ramionami i ozwał się odchodząc.

— A po kiego diabła?

Ufny w przyrzeczeniu kucharki, poszedł nie odwracając się już do wrot, a psy nań nie czekały. Oba leżały i dyszały pod krzakami, jakby je pragnienie wewnętrzne paliło,

a sił nie miały wstać i pójść do wody, Lagus spojrział na nie uśmiechając się.

Po odejściu dziada, Magda usiadłszy na ganku płakać poczęła gorzko. Za swoją to zapewne młodością, którą odpokutowywać srodze musiała, gdy jej już po trosze zapomniała; za dawnymi przewinieniami, które jej Lagus przypomniał. Kilka razy szła do drzwi, gdzie spało dziecko, wracała i płakała znowu. Aż Maciek przebudzony sam wyszedł w ganek.

Na widok uśmiechającej się twarzyczki biednego dziecięcia, kobiecie serce zadrgało w piersi, ciężko było tego aniołka wydać w ręce Lagusa, którego zdawna знаła, którego się lękać miała prawo. Strach o siebie kilka razy naglił ją wyprawić Maćka do karczmy, to znowu litość wstrzymywała. W tej walce bojaźni z uczuciem politowania, zwyciężyło narreszcie uczucie szlachetniejsze. Tak dzieje się zawsze w sercu kobiety, gdy tylko ma czas wyrobić w sobie zwycięstwo. Całkiem przeciwnie dzieje się z mężczyzną.

— Słuchaj, rzekła Magda zbierając się na odwagę. Lagus nie poszedł, on tu jest, czatuje na ciebie, czeka pod karczmą. Może napaść w nocy. Idzie z Krakowa. Uciekaj.

— Dokąd? spytał chłopiec, nie wiem drogi? nie mam chleba.

— Uciekaj nazad do Krakowa, żywo dała kucharka, on cię tam szukać nie będzie. Ja mu powiem, żem cię wyprawiła w inną stronę. Oto masz chleb, zawołała biegnąc i krzając się, uciekaj. Nie idź wielką drogą. Szedłeś tu z Krakowa, trafisz więc nazad, tam będziesz bezpieczniejszy.

To mówiąc Magda sama trzęsąc się ze strachu wyprawiła Maćka, który starał się na próżno wzbudzić w sobie odwagę. Wspomnienie napaści, przestach w nim wzbudzało, uczucie swojej bezsilności, przerażało chłopca. Dając się jednak przekonać kobiecie, która z wzruszeniem, ukazywała mu prostą drogę po za plebanją, krzakami idącą, Maciek z młodzieńczym pośpiechem ruszył co tchu.

Dopóki widzieć go było można, Magda stała i patrzała, nareszcie straciwszy z oczów, wróciła do plebanij i jęła się z pozorną obojętnością, zamiatać i porządkować w izbach.

Nie upłynęła godzina, a Lagus znowu był w dziedzińcu. Chmurném okiem popatrzył na Magdę i z gniewem zawołał.

— A co?

— Co? wszakżem ci go posłała? nie ma kwadransa jak poszedł.

To mówiąc kobieta roztwierała umyślnie drzwi izby, w której Maćiek spał wprzód i tak doskonale udawała zadziwioną, że dziad na chwilę dał się uwieść.

— Pewnie? spytał.

— A jużciż pewnie! Takiegoś mnie strachu napędził.

— Którędy poszedł?

— Ku wsi, powiedziałam mu, że na niego tam kobieta czeka w karczmie, a jeśli by jój nie znalazł, aby dalej wprost drogą doganiał.

Dziad niby wahał się, wątpił, ale zaraz

potem, upewniony wejrzeniem śmiałym Magdy, słowa nie rzekłszy, poszedł.

Nad wieczorem popowracali Klechy z karczmy, i Magda łatwo im wytłumaczyła odejście Maćka. Organista wielce się tem ucieszył. Ale dla wszystkich straszny był powrot Plebana, który w rzeczach jego samego się tylko tyczących powolny aż do zbytku; gdy o wiarę, obowiązki lub bliźniego chodziło; nie przebacał. Jakoż na pierwsze pytanie, zmieszła się Magda najbardziej i nie wiedziała co mówić; ale Proboszcz nie dał się uwieść ponowionym z początku zapewnieniom, że chłopiec poszedł dobrowolnie.

Psy swoje podwórzowe zobaczywszy stru-te, miarkując coś z pomieszanania kobiety, począł ją wybadywać pilniej.

Nie wchodząc w szczegóły, gospodynia zeznała, że wyprawiła chłopca, lękając się aby go przybyły dziad nie pochwycił. Opowiedziała gdzie, w którą stronę poszedł. Ale nie czas już było gonić za nim, choć Proboszcz

z razu chciał to uczynić. Lagus, pomimo że się jego przybycia co chwila spodziewała Magda, nie ukazał się dnia tego, ani następnych.

Tylko z wieczora, jakiś nieznajomy człowiek, dowiadywał się pilnie o niego w karczmie i na probostwie. Żyd widział go idącego w stronę przeciwną Krakowa. Tam też pogonił za nim jezdny.

Wróćmy do Maćka, który pędzony strachem, przedziera się nieznajomymi drogami ku Krakowu. Sam jeden, o kawałku chleba tylko, bez grosza, ranny jeszcze, bo głowa nie miała się czasu zagoić, puścił się żywo z Zębocina ku stolicy nazad. Spodziewał się on znaleźć tam Agatę, p. Czuryłę i opiekę Senjora Bursy, ale lękał spotkania z Urwisem, który go wydał w ręce dziadowi.

Nie wiedząc jeszcze jak sobie pocznie z nim, jak da rady później, unikając bliższego niebezpieczeństwa, żywo szedł w wskazanym mu kierunku. Minał miasteczko i puścił się polami; nogi znużone dygotały pod nim, a strach

naglił, obracał się co chwila poglądając czy dziad za nim nie goni, ale nie było nikogo. Nieco uspokojony, począł się modlić, bo wychowany przez kobiety i księdza, miał we zwyczaju modlitwę, tak że usta same się do niej niejako, nie czekając duszy sklejały. Dusza później dopiero na słowo przylatywała.

Dzień wietrzny i chłodny miał się ku schyłkowi, czerwone zaiskrzone niebo, poprzecinane chmurami sinemi i granatowemi, coraz a coraz ciemniało. Przed nim dymiła w parowie leżąca wioska z krzyżem kościoła, żurawiami swych studni i stadem wron unoszących się nad gołemi drzewy. Ludzie wracali z pól z pługami, witając podróznego pobożnemi słowy.

— Niech będzie pochwalony.

Nagle jak widziadło jakie, przed zamodlonym stanął z twarzą zaognioną i oczyma błyszczącemi. Urwis.

Pierwszą myślą Maćka było uciekać, ale

nim mógł zawrócić się, już schwycony silnie za rękę, wyrwać się nie mógł.

— Bracie, ach! bracie, zawoł spotykający go żak, ja za tobą gonię! Przebacz mi jam cię zdradził! Na Boga, nie wiedziałem, co ten pies chciał zrobić z tobą, skłamał przedemną mówiąc, że cię do jakichś krewnych chce prowadzić. Klnę ci się na Boga, na wszystko święte i na pamięć biednego ojca mego, żem ci źle uczynić nie chciał. Dowiedziawszy się, żeś piekielną zdradą dostał się z mojej przyczyny w ręce łotrowskie, biegłem umyślnie za tobą, aby cię bezpiecznie do Krakowa zaprowadzić. Daruj mi! odtąd bratem ci będę i obrońcą. Chodź, chodź!

Pomimo widocznej szczérości tych wyrazów Urwisa, który burzył się sam myślą swą mimowolnej zdrady; Maćiek bojaźliwie go powitał i nie bardzo chciał mu dać wiarę. Ale wkrótce niepojęta władza szczérości i prawdy, tchnąca ze słów żaka, zajrzała mu do serca.

— Więc tyś mnie źle nie życzył? spytał, ty nie nie wiedziałeś?

— Na imie ojca, to u mnie największe zaklęcie, przysięgam że, nie nie wiedziałem. Teraz, ja i ty, dwa palce jednej dłoni, nie nas nie rozdzieli.

Tu dopiero powoli idąc ku wsi, oba poczęli sobie wzajemnie rozpowiadać co się działo w Krakowie, po porwaniu Maćka; co się działo z Maćkiem od czasu porwania.

Urwis zepsute chłopię, miał jednak serce młodzieńcze, co się łatwo poruszało, słysząc ak dziać męczył Maćka, burzył się i pięści zaciskał.

Stanęli w Plebanij na noc, gdzie naturalnie jako żacy, do szkoły się wprosili. Ledwie się spać układli, gdy głos Lagusa dał słyszeć pode drzwiami, Maćiek struchlał, Urwis pochwycił na nogi.

— Pozwolicie przemocować, rzekł Lagus za drzwiami do Dzwonnika, chłód na dworze, idę z miejsc świętych z Kalwaryi —

Niesłychać było odpowiedzi, ale widać dozwolono dziadowi położyć się w szkole, bo drzwi się przetwarły i wskazano komuś miejsce pod piecem. Ciemno było w izbie zupełnie. Lagus zrzuciwszy sakwy, marmocząc pacierze, upadł znużony na przypiecku.

Urwis tym czasem ściskając rękę Maćka aby milczał, podniósł się nieco, słuchał i gotował kij podróżny, rozszarpując snury swojej torebki.

Wkrótce ucichły pacierze i głośne chrapanie znać dało, że dziad usnął. Urwis zbliżył się ku niemu, obmacał ostrożnie i dopatrzwszy że ręce obie nad głową założył, ściągnął je kluczką swojego sznura. Nim dziad się przebudził, trzy czy cztery razy obmotał mu pięści, a korzystając z bezwładności ich, począł obwiązywać gębę.

Silny łotr rwał się i miotał na wszystkie strony, ale napróżno, sznur był mocny, płachta zatulająca gębę w kilkoro złożona, do tego jeszcze nielitościwy Urwis, po cichu

zwałił blisko stojącą ławę dębową na piersi dziadowi, i tak wszystko urządziwszy aby do ranka ruszyć się nie mógł, sam wzięwszy za rękę Maćka, po cichu ze Szkoły oknem wylazł.

— Nie bój się, rzekł mu gdy wyszli, mamy całą noc przed sobą, a ja drogę doskonale znam.

I to mówiąc pośpieszył za płotami na gościniec, co ku Krakowu zmierza.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM.

	<i>Stronnica</i>
I Ganek Plebanij	1
II Rybálci	31
III Dziad	65
IV Proboszcz w Krakowie	87
V Wdowa	107
VI Knyszyn	123
VII Cień Barbary	173
VIII Urwis	207



SPIS TREŚCI

ZAWARTOŚĆ W TOMIE BRUCIN

1	I. Główny Wstęp
21	II. Rybnictwo
62	III. Dział
87	IV. Przemysł
107	V. Wzrost
123	VI. Rękawicznictwo
133	VII. Ciężka Przemysł
107	VIII. Turystyka



**INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN**

ul. Nowy Świat 72

00-900 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

F
1780
1-2